

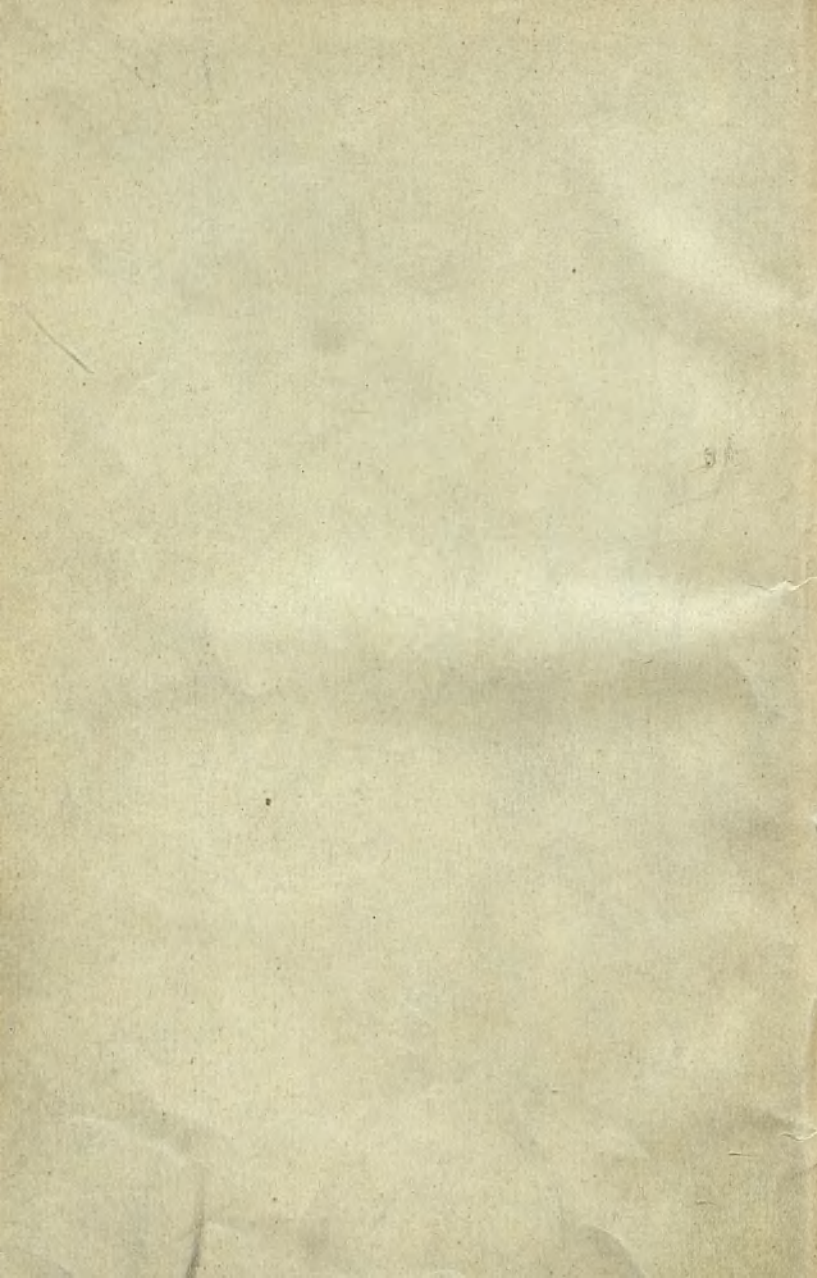


wp.

1258/63

1

Pracownia Śląska



CHATA IRLANDZKA

POWIEŚĆ



SPOLSZCZYŁ
JÓZEF GALLUS.



DRUKIEM „KATOLIKA”, SPÓŁKI WYDAWNICZEJ
Z OGRAN. ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ, BYTOM G-Ś.

1258/63

ISL 12

211445

I

Antykwariat
Lach J.
K. ce
ul. Gliwicka 3
51.4.63. 35-21.



/Mgr Soból/



Spokojna rodzina.

W hrabstwie Wiklew w Irlandyi, tylko kilka mil od miasta Brai oddalonego, leży samotna, bardzo przecudna dolina, na którą natura cały urok piękności wylała, urozmaiciwszy każde pojedyncze jej części w najróżnorodniejszy sposób.

Wzdłuż pagórka bazaltowego rozłacza swe wody bogate w ryby jezioro, które spokojne jak zwierciadło kryształowe zamąci się chyba nagłym powiewem wiatru i zaszeleści sitowiem obficie na brzegu rosnącym.

Przy wchodzie do doliny stoi gęsty las jodłowy, jakoby mur, na podobieństwo bramy obronnej przeciw wtargnięciu nieprzyjaciela, i ciągnie się z przeciwnej strony aż ku drugiemu końcowi. W środku doliny znajdują się najbujniejsze i kwitnące łąki, na których tłusta trawa swojskie i dziko pasące się bydło nieomal zakrywa. Pola to pszenicą i jęczmieniem obsiane, to pełne lnu i konopi, tworzą przecudną grę kolorów. Różnego gatunku drzewa owocowe, wyrosłe ze ziarenek, które tysiące ptaków wędrownych z sobą tu naniósł, wznoszą się nad niższymi krzewami, pokrywającemi nadbrzeża, że wszystko tak pięknie wygląda, iżby to można do angielskiego parku przyrównać. Nadto piękny ten krajobraz urozmaica plusk mnóstwa źródeł wytryskujących z kwiecistych pagórków i ożywia dźwięk śpiewających ptaków irlandzkich.

W tej dolinie stała przed laty na samym brzegu jeziora pod cieniem najurodzajniejszych drzew sa-

motna chata, w której, od czasu jej zbudowania, panował spokój i zadowolenie.

Mieszkał tam stary Irlandczyk, nazwiskiem Tomasz Mooney ze swą wierną małżonką i dwoma dorosłymi synami.

Chatka ta była tylko jedyną w całej dolinie. Rodzina wyżywała się z trudnością, lecz jednak wystarczająco z dochodu pracy ręcznej. Tomasz z synami trudnił się hodowaniem bydła, chodził na połów ryb do jeziora, albo też polował w lesie na dziczyznę; uprawiał rolę, albo gromadził len i konopie. Małżonka zaś jego prowadziła spokojnie i rozsądnie gospodarstwo domowe i wyrabiała płótno na sprzedaż do miasta, lub wyciskała moszcz z nagromadzonych owoców, który służył za napój dla mężczyzn.

Więcej jeszcze, jak pilnością i przestawaniem na małym, odznaczała się rodzina Tomasza swą pobożnością, prawdziwym zmysłem religijnym i bezstronną miłością i szacunkiem ku swym bliźnim, tak że ich serca poświęcone były na cichy ołtarz do uwielbiania Boga, a mieszkanie ich zdawało się być siedliskiem dla potrzebujących pomocy i gościnności.

Przeto też była owa cicha chata nad jeziorem dla nadzwyczajnej oznaki od innych mieszkań i wsi tejże okolicy daleko i szeroko, pod nazwą „chaty irlandzkiej” znaną.

Chociaż sposób wychowania, jakiego stary Tomasz ściśle przy dorastających swych synach się trzymał, był jednaki, i jak na jednego, tak też i na drugiego powinienby oddziaływać równo — to jednakże charakter młodzieńców był nadto różnym, aby skutki miały być jednokie. Obaj byli z gruntu bardzo dobrego charakteru. Obaj słuchali z uwagą na każde słówko wychodzące z ust ojca, które na przyszłość miało mieć dla nich wielkie znaczenie.

Atoli najstarszy, imieniem Feliks, miał bardzo wielką, nieomal nieprzewyciężoną skłonność do we-

sołych lekkomyślności. Nad życie lubił taniec i muzykę. Tak długo, gdy był sam zatrudniony przy swej pracy dziennej, to nie można było nic przeciw jego sprawowaniu się złego zarzucić. Lecz skoro po skończonej robocie lub w dni świąteczne doleciał go odgłos wasołej fujarki i śpiew irlandzkich wieśniaków z drugiej doliny, wtenczas nogi same poczęły mu drgać; i natychmiast wybiegał z domu na dwór, a gdy już był na wolnem powietrzu, to też i wkrótce siedział w dolinie u sąsiadów pod drzewami i zapijał przy grze fujarek i śpiewie moszcz i wódkę, lub z chłopakami latał na wyścigi, albo też za przykładem swych towarzyszy wziął za rękę hożą Irlandkę i kręcąc się z nią to w tę, to w ową stronę, w oczysztych płasach, tak szalał długo, aż mu rześisty pot zaczął kapać z czoła i twarz oblewać. Przy tej zabawie postradał niejedno dobre, co mu ojciec i matka do serca włożyli, i utracił niejednen grosz w pocie czoła zapracowany.

Pelen niepokoju i znużony wracał do domu, a potem będąc często cały dzień słaby, i przez napominania i często surowe groźby ojca dręczony, musiał za te kilka lekkomyślnych godzin ciężko pokutować.

Także i polowanie na dziczyznę i ptactwo, któremu się z większą namiętnością oddawał, aniżeli jego młodszy brat, uczyniło go zwolna więcej szorstkim w obyczajach. Byłby też może obcując z innymi stał się dla nich nieznośnym, gdyby go stary Tomasz nie był trzymał zawsze w szrankach przyzwoitości.

Często strząsając głową, grożąc palcem, mawiał:

— Feliksie, Feliksie, nie wiem, jakim mi chcesz zostać. Byłeś zawsze tak dobrym, miłym i nabożnym chłopcem, że w duszy cieszyłem się nad tobą. Feliksie, nie rób twemu staremu ojcu żadnej zgryzoty! Patrz, tyś jest starszym. Na tobie też spoczywa większa część naszych nadziei i przyszła podpora naszej starości! Józef, brat twój, jest zawsze choro-

wity i o wiele słabszym od ciebie. Może go prędzej utracimy, zanim ty twoim rodzicom grób wykopiesz. Feliksie, zaprzestań tych swawolnych lekkomyślności! Pozbądź się tej skłonności do muzyki, tańca i gry! To nie przystoi na prostego wieśniaka, jakim ty masz zostać. Popęd do złego oddala cię od Boga i od twych obowiązków i prowadzi coraz dalej w przepaść zepsutego świata. Już nie chce ci się ani modlić, ani pracować; dzień i noc myślisz i ciągniesz do twych złych towarzyszy, zapominasz o sobie i o nas. O Feliksie, usłuchaj teraz jeszcze mojej ojcowskiej przestrogi, zanim surowość ojcowska będzie ci musiała inną wskazać drogę!

Na takie napomnienia starego Tomasza brał się Feliks w kupę, jak tylko mógł; bo mając dobre serce nie mógł bez boleści patrzeć na zmartwienia ojca, których był przyczyną. Postanowił sobie jak najmocniej, że przy każdej sposobności, skoro fujarka i taniec będą go wabiły, wspomni na starego ojca. I to postanowienie nie pozostało też odtąd bez upragnionego skutku.

Józef, młodszy brat jego, był ulubieńcem matki, która go porodziła w niewymownych boleściach i w ciągłym strapieniu wychowała. Już dwa razy, gdy był jeszcze chłopcem, stawała nad jego łóżem z obawą i strachem, że go będzie musiała utracić. Budowa jego ciała była bardzo delikatna i słabowita, lecz serce miał wspaniałomyślne i z dziecinną miłością był przywiązany do matki. Nie mniej czcił i kochał także swego ojca. Nawet za surowszego brata byłby oddał swoje życie.

Podczas gdy ojciec i brat Feliks, który już był dzielnym chłopakiem, kiedy Józef jeszcze leżał w kołysce, zatrudniali się polowaniem na zwierzynę i chwytaniem ptaków w dolinie, on po większej części zarzucał sieci w jeziorze, aby kuchnię matki zaopatrywać albo też doglądał krów na pastwisku i uprawiał len. Dla tego u matki w cichości miał pierwszeństwo.

Wiedział o tem dobrze Feliks, jednakże dotąd nie miał na młodszego brata żadnej zawziętości, lecz kontentował się pochwałą ojca za uбиcie dzikiej zwierzyny.

Pomimo, że uczciwa rodzina oddawała się z całą pilnością pracy i żyła nader oszczędnie, jednakże ledwie z trudnością zdołała zgromadzić codzienne potrzeby, tak, że na przypadek gorszej jeszcze przyszłości bardzo mało tylko można było odłożyć.

Skoro zatem chłopcy o tyle podrośli, że jeden z nich mógł się zatrudniać polowaniem, a drugi oddać się rybołówstwu, i tak chowu bydła jak i uprawy roli dopatrzyć, pomyślał ojciec nad nowym środkiem pomnożenia dziennego zarobku.

— Posłuchaj, matko — rzekł raz pewnego do swej żony — na cóż ja mam w chacie napróżno siedzieć, kiedy nasi chłopcy codzienne czynności załatwić potrafią. Mam przyjaciela w Dublinie. Do niego więc pójdę, aby mię przyjął do budowy wodnej. Jestem Bogu dzięki, pomimo moich podeszłych lat, jeszcze dość rzeźwy i zaiste dosyć zdatny, aby po upływie każdego lata, gdy do naszej cichej chatki powrócę, złożyć ci worek z pieniędzmi na łono. Z początkiem przyszłej wiosny po raz pierwszy spróbuję. Poszczęści się, to będziemy jednomyślnie i z dziećcem sercem Bogu za odébrane dobrodziejstwo dziękowali. Nie poszczęści się — to wrócę napowrót i na nowo znowu z tobą i synami oddam się naszym zwykłym codziennym zatrudnieniom.

Wierna i troskliwa małżonka nie chciała się z początku długo zgodzić na życzenie i przedstawianie męża. Jednak na koniec zwyciężyło w niej pragnienie pięknego zarobku, który jej Tomasz umiał w pięknych kolorach odmalować i — zezwoliła.

Kilka lat już od tego czasu upłynęło. Synowie pracowali skrzętnie w swej rodzinnej dolinie, pomagając starzejącej się już matce prowadzić gospodarstwo domowe. Ojciec zaś pracował na okrętach ku-

pieckich w zatoce morskiej niedaleko Dublina. Na wiosnę, gdy ptaki przelatujące zawitały, wychodził on, a gdy te znów dolinę opuszczały, powracał do swej zagrody.

Kiedy nadchodziła pora jesienna, wtedy tęsknienie i wyczekiwanie obustronne było wielkie, i z upragnieniem wyglądano dnia, kiedy się znowu mieli ujrzeć. A gdy nareszcie ta godzina wybiła, w której ukochany ojciec do samotnej doliny zawitał, to zapanowała radość w chacie, jakiej jeszcze tam nie było, jak długo stała. Małżonka wylewała łzy radości, a on mile tulił do siebie to żonę, to synów, a dzień powrotu święcili, jakoby uroczyste święto.

I kiedy ojciec zarobek z kieszeni wytrząsnął, a matka z synami swój zaoszczędzony pieniądz wyłożyła, wtedy uśmiechali się do siebie z zadowoleniem, a stary Tomasz wzniósłszy ręce do modlitwy, rzekł:

— Podziękujmy więc Panu Bogu, który nam tak hojnie pobłogosławił i użyjmy zaoszczędzonego grosza ku naszemu zbawieniu i dla pociechy i dobra naszych współbraci. Żaden potrzebujący wsparcia, który do naszej chaty zapuka, niechaj bez pomocy tuśd nie odchodzi, ani żadna sierota, któraby o kawałek chleba prosiła, niech nas nie opuszcza prędzej, aż jej go hojnie udzielimy. Za to my będziemy dla siebie oszczędnymi, ażeby nasze skłonności i namiętności nad nami nie wzięły góry — i aby nam Bóg dobrotliwy nadal błogosławić raczył.

Smutna nowina.

Niejeden Nowy rok zawitał do cichej doliny i niejeden stary przeszedł, którego wiosnę i lato stary Tomasz przepędził w zatoce morskiej przy Dublinie.

Tak znowu raz nadeszła dawno oczekiwana jesień; a nareszcie nadszedł dzień i wybiła godzina, kiedy troskliwa i wierna żona wyczekiwała męża, a kochający synowie wyglądali swego ojca.

Feliks wyszedł rychło rano, aby na przyjęście ojca ubić zwierzyny lub złowić kilka smacznych ptaków, Józef zaś siedział z wędką na brzegu jeziora pomiędzy sitowiem i krzakami, aby na wesołą ucztę, która się wieczorem miała odbyć, mógł dostarczyć ryb. Stara matka czyściła i przewietrzała izdebkę na porządne przyjęcie z upragnieniem oczekiwanego.

Ukończywszy swą robotę, wyszła z chaty i udała się na brzeg ku Józefowi.

— Cóż tu porabiasz, Józefie? — zapytała go matka.

— O, jak się też to nasz ojczulek ucieszy — odrzekł Józef, a oko jego zabłysło jakby jutrzeńka — patrz, matko! Oto najpiękniejszych ryb dla niego dostałem. Lecz nie wiem, co mi się to dzisiaj dzieje, że ryby stękają, nim na wędkę idą. Matko, zdaje mi się, że ryby chcą powiedzieć, iż to nie jest dobry znak.

— Dziecinnym jesteś! — zaśmiała się matka, głaszając kędziory ładnego chłopca — stękanie dopiero nastąpi, gdy będą mordercze żelazo miały pod gardłem. Nie baw się w przywidzenia, Józiu, nie wbijaj sobie nic do głowy. Ty w twojem życiu nie usłyszysz ani jednego głosu od ryby!

— Już ci wierzę, matko — odparł Józef — lecz tam właśnie przed chwilką wynurzyła się z sitowia wodna kurka, i gdy chciała nad powierzchnią jeziora przelecieć, wyskoczył z fali jakiś ogromny potwór, i złapawszy ją, wciągnął ze sobą w głębinę. Matko, to też nie jest dobry znak.

— Józiu, Józiu! — rzekła matka poważnie — cóż znaczy ta gadanina? Jesteś bardziej zamyślony, aniżeli to na twoje młode lata przystoi, mój synu! Lecz temu są winne szkockie podania i bajki góralskie, które z wielkiej księgi ojca w głowę sobie bierzesz. Kochany synu, daj sobie pokój z temi smutnemi przypuszczeniami, a módl się nabożnie do Boskiej Opatrzności, która po ojcowsku czuwa nad nami!

Józef spojrzawszy na matkę wzrokiem dziecięcym, otarł sobie łzę z oka. Potem ciągnął dalej z udaną wesołością:

— O, jak tylko przyjdzie ten dobry nasz ojciec, który z miłości ku swym synom na swe stare lata podejmuje się takich trudów i pracy — jak tylko przyjdzie, to pospieszymy mu wszyscy naprzeciw i cieszyć się będziemy! Lecz, matko, niech będzie ten raz ostatnim razem, że nasz drogi ojczulek wyszedł z doliny. Nie przestanę go tak długo prosić, aż nam przyrzecze, że już więcej nas nie opuści. Matko, ty nie powinnaś także na to pozwolić! Raczej ja pójdę i zaciągnę się na majtka, chociaż jeszcze jestem zbyt młody i członki moje są słabe.

Stara matka nie mogła się wstrzymać, aby swego ulubieńca Józefa nie przycisnąć do serca.

— Tak, masz słuszość, mój synu — rzekła, gdy łyzy pozwoliły jej mówić — nie chciałabym znowu przez sześć nowych miesięcy oddać się pod moc przestrichowi, który mnie przez długie lata nieomal trawi. Ale teraz milczeć o tem! Pomówmy raczej o jego przyjściu, ażebyśmy jak najweselej wyglądali, jak on tu rzeczywiście będzie.

Józef wyciągnął jeszcze na swej wędecku wielką rybę z wody i zaniósł swój połów do chaty.

Wkrótce znowu wyszedł i usiadł na ławce z darniny obok matki. Przyniósł ze sobą małą szkocką harfę, którą mu był pewien mnich podarował, a który, ponieważ się w drodze rozchorował, przez sześć tygodni znajdował gościnne przyjęcie i pielęgnowanie.

— Gdzie dzisiaj brat Feliks tak długo bawi? — odezwał się nareszcie Józef po długim milczeniu, podczas gdy oboje na zachodzące słońce spoglądali — przecież on już wyszedł, jak ledwie pierwsze promienie słoneczne naszą dolinę powitały; a tu już wieczór nadchodzi, a onego jeszcze niema!

— Józiu — odpowiedziała matka — czy to dziś nie ów wieczór, w którym ojca oczekiwamy? Feliks

z pewnością wyszedł mu naprzeciw, jak to zwykle czynił. Mój stary Tomasz cieszy się dawno na przygody łowieckie, których mu Feliks ma setki do opowiadania. Tak mu droga tu dotąd się skróci, a serce jego będzie rozweselone do wzajemnego powitania. Ale cóż się to z tobą dzieje, Józiu? tyś wcale nie wesoły!

— Patrz oto tam, matko — rzekł Józef — czy nie zachodzi słońce krwawo za górami bazaltowemi? A jakto jego odbłask ze drzeniem rozkłada się tajemniczo na spokojnej powierzchni jeziora!

— Dawniej, mój synu — odparła matka — cieszyło cię wielce tak piękne i wzruszające zjawisko natury. Zwykle wtedy wznosiłeś oczy do Stworzyciela nieskończonego świata, do Stworzyciela tej małej precudnej doliny. Składałeś dzięki i modliłeś się, a było ci błogo w dziękczynieniu i w modlitwie; śpiewałeś przy dźwięku twej harfy i błogo ci było w śpiewie, a twoja matka spoglądając, przysłuchiwała ci się z całą radością jej serca. Józiu, dla czegoż dzisiaj nie czynisz tak samo? Chódź, a zanuć jedną z tych piosenek, którą cię pobożny mnich do arfy śpiewać nauczył! Twój miękki głos dźwięczy mi słodko, jak śpiew naszych wiosennych ptaszków, na drzewach owocowych przed chatą. Józiu, przecież i w śpiewie możemy także Stwórcę naszego uwielbiać.

Józef, nie mówiąc ani słówka, uderzył w struny harfy. Długo głos jego milczał, i tylko palce przebiegały po strunach, wydobywając smutne tony.

Na koniec zaczął śpiewać:

„Burza okropna,
Ryczą bałwany,
Wicher szalony
Sternik stroskany.

Morze się pieni;
Fale zawrzały,

Wicher uderzył,
Okręt o skały.

Jęczą majtkowie:
„Któż nam pomoże?
Nad sierotami,
Zlituj się Boże!”

Stroskana wdowa,
Zawodzi łkania, —
Głębokie morze,
Męża pochłania!

Morze się pieni,
Wicher szaleje, —
Boże dopomóż,
Niechaj zadnieje!”

— Józiu! — przerwała matka w śpiewie syna —
przecudnie piękna melodia jest w tej pieśni, ale za-
prawdę nie dla nas utworzona, aby nas mogła roz-
weselić. Proszę cię, Józiu, zanuć mi pieśń o niebie-
skim pocieszeniu.

Józef był zawsze posłuszny na rozkazy matki,
więc wzięwszy z innego tonu, zaśpiewał:

„Kiedy serce twoje ciężka żalność gniecie,
I ludzkiej pociechy nie znajdziesz na świecie —
To zwróć w niebo spojrzenie!

Tam znajdziesz pociechę, tam ci światłość świeci,
Bo Ojciec swych wiernych nie opuszcza dzieci;
Tam w niebieskiej krainie!”

Tu Józef urwał. Ujrawszy łzy w oczach matki,
położył harfę na stronę.

— Pójdę na brzeg lasu — rzekł — i zobaczę, czy
Feliks z ojcem nie nadchodzi.

— Pójdę z tobą, mój synu! — powiedziała matka,
podając mu ramię, aby ją prowadził.

Józef szedł w milczeniu obok niej.

— Jest to jednak — przerwała matka milczenie — coś bardzo dobrego w niebieskim pocieszeniu. W życiu ludzkim zachodzi wiele stosunków, gdzie żadna pociecha, chyba tylko niebieska, może smutnych rozweselić. Józiu, pociecha ta świeci jasno w naszej świętej religii. A kiedy chrześcijaństwo nie jaśniało jeszcze nad irlandzkimi dolinami, a na szkockich wyżynach czczono jeszcze bożków — to były pola i gaje jakby obumarłe, puste i próżne; — puste też i próżne były serca naszych ziomków, bo nie znali prawdziwego dobra. Najukochańszy synu, nie przedstawajmy Bogu dziękować za Jego nieskończoną dobroć, okazaną w zesłaniu nieśmiertelnej religii. Także i w naszej cichej dolinie wybije może raz ponura godzina, gdzie będziemy potrzebowali największej pociechy. O Józiu, trzymajmy się mocno tej pociechy, o której twa piosnka wspomina!

Syn w miejsce odpowiedzi przycisnął mocno rękę ukochanej matki do swej piersi, jak gdyby tem chciał słowo „tak!“ wyrzec.

Wtem, gdy się skręcali około chaty, przystanął naraż Józef i wyteżył wzrok ku wschodowi do lasu. Ujrzał bowiem Feliksa stamtąd idącego, a obok niego jakiegoś obcego mężczyznę. Widok ten bardzo go przeraził, gdyż przeczuwał coś niedobrego i zbladł. Wzrok starej matki był już za słaby, aby mogła poznać nadchodzących.

Feliks już z daleka dał bratu swemu ręką znak, że ma odprowadzić napowrót matkę na ławkę darniową.

Józef niemy ten znak natychmiast zrozumiał.

— Wróć się, droga matko — rzekł drżącym głosem — bo wieczorem jest chłodno tu na wydmuchu. Odprowadzę cię napowrót na ławkę. Tam chata cię zasłoni przed wiejącym wiatrem północnym. Także i ojciec zarazem znajdzie tam miejsce do odpoczynienia, gdy znużony do nas powróci!

— Gdy powróci!... — powtórzyła stara matka z westchnieniem. — Jakoś dziwnie mi się naraz zro-

biło na sercu, i w tej chwili przestraszył wstrząs moje nerwy, jakby złe przeczucie. Józiu, tyś mnie całkiem osłabił twemi szkockimi podaniami. Słońce zaszło. Nasz zegar ścienny już dawno wybił godzinę, o której on zwykle bawił w naszym gronie. Kiedyż przyjdzie? Ach, żeby już tu był!

— Matko — odrzekł Józef urywanemi słowy — trzymajmy się mocno tej pociechy, o której w pieśni mej właśnie śpiewałem.

Przyszli tam, gdzie było siedzenie darniowe; matka milcząc usiadła, a Józef stał przy niej i płakał pokryjому.

Feliks nadszedł z owym obcym człowiekiem.

— Nie trwóźcie się, matko i bracie — rzekł — ojciec nie może przyjść. Przesyła nam więc posłańca. Jest to majtek, który z nim razem pracował.

— I dlaczego nie mógł przyjść? — zapytała matka, i podniosła się nagle z darniowej ławki, drżąc na całym ciele.

— Obcy człowieku! — rzekł Feliks do majtka — co się stać musi, niech się stanie. Mnie się ciężko robi na sercu. Lecz to musi być! Spełnij więc twoje posłannictwo!

Feliks odstąpiwszy krok na stronę, zakrył twarz rękami.

Wtedy majtek się odezwał:

— Stary Tomasz przesyła kochanej żonie i dwom synom swoje ostatnie pozdrowienie i ostatnie błogosławieństwo. W zatoce morskiej przy Dublinie zmarł śmiercią bohatera i chrześcianina!

Majtek jeszcze nie przestał — kiedy staruszka bezprzytomnie padła na ławkę. Feliks przyskoczywszy, pochwycił ją w swe ramiona, a mając oczy wzniezione niemo ku niebu, gorzko płakał. U stóp zaś matki narzekał blady Józef.

Widok ten zrobił nawet na surowym majtku głębokie wrażenie.

Nareszcie podniosła się powoli nieszczęśliwa wdowa z ramion syna i rzuciła błędnym wzrokiem w tę stronę okolicy, gdzie słońce krwawo zachodziło.

— Józiu — rzekła z boleścią — twój młodociany duch przewidział to wszystko, a miękkie twe serce przeczuło ten smutek. O Józiu! Feliksie! już więcej nie będziecie oglądali ojca! I ty stara, opuszczona wdowa, nie masz już twego wiernego i poczciwego Tomasza! O żeby on był przynajmniej w swej cichej stronie rodzinnej w pośród kochających go istot, życie zakończył. Wtedy byłoby przynajmniej jego ostatnie spojrzenie z oka do oka, jego ostatnie pozdrowienie z ust do ust, i ostatnie jego błogosławieństwo z serca do serca przechodziło! O Tomaszu! Tomaszu! stary, mój wierny przyjacielu!...

Tu zamienił się jej ból w potok łez. Synowie, skoro ujrzeli matkę płaczącą, zaczęli z nią zarówno w głos płakać. Wieczorny śpiew ptactwa na drzewach przed chatą i szmer wiatru na płaszczyźnie jeziora zamilkł, a tylko odgłos płaczu rozlegał się po całej dolinie.

Dopiero, gdy pierwsza boleść przeminęła, obróciła się strapiona wdowa do majtka.

— Jeszcze nam — rzekła — o jego sposobie śmierci nie opowiedziałeś, miły człowieku! Pójdźcie, usiedźcie obok mnie i oznajmijcie wszystko, co wiecie. O moim Tomaszu nie możecie mi za wiele powiedzieć, chociaż mnie to tak zasmuca, że serce moje mogłoby pęknąć pod ciężarem strapienia. Opowiedzcie mi przygodę jego śmierci — jestem na to przygotowana. A synom moim niechaj ona będzie w wiecznej pamięci na ich ojca i gorącą zachętą do naśladowania jego pięknego żywota.

Majtek zaczął opowiadać:

— Już temu jest dwa tygodnie, jak pracowaliśmy nad brzegiem morskim. Wtem zerwał się nagle gwałtowny wicher, rzucający bałwanami na wysokość wieży. Czarna, okropna burza wynurzyła się z głębin

morza i rozszerzyła się na całym obszarze; grzmot huczał po jęczących skałach, a tysiące piorunów zakołysało się naraz na wspienionych falach morskich.

Podczas tej strasznej sceny klęczeliśmy wszyscy razem na brzegu, błagając Boga o ratunek i łaskę dla nieszczęśliwych, którzy musieli walczyć z rozhukanyim żywiołem. Tomasz i ja weszliśmy na wyżej położone nad brzegiem miejsce, patrząc, czy oko nasze na szumiących bałwanach nie dojrzy jakiego okrętu nieszczęśliwego.

Nie staliśmy jeszcze długo, gdy spostrzegliśmy jeden, który w walce śmiertelnej pasował się z ryczącym morzem. Donieśliśmy zaraz o tem naszemu kapitanowi, który kazał zatrąbić na trwogę. Setki ludu w okamgnieniu zebrało się nad brzegiem, aby oczyma i krzykiem swym śledzić ostatnie poruszenia okrętu. Tenże jednak przedzierał się z rozpaczliwą odwagą coraz dalej przez rozhukane bałwany, tak, że około wieczora o tyle się zbliżył do brzegu, że mógł być z łatwością dosłyszeć okrzyk i zachęty majtków ze stałego lądu.

Lecz burza jeszcze się nie uspokoiła i morze szalało. Kiedy już okręt z nadzieją i radością zbliżał się do zielonego brzegu, fale zaryczały, wicher uderzył z taką gwałtownością okrętem o skrytą skałę, że ten rozbity w drobne kawałki zniknął w bezdennej otchłani. Ludzie i zwierzęta, będąc igraszką fali, z jękiem i rykiem tonęli.

Kapitan tego okrętu płynął odważnie ku brzegowi, który jako cel ratunku już mu się uśmiechał. Już tylko kilka set kroków było do zwalczenia, gdy naraz zdawało się, jakby go ostatnia siła chciała opuścić. Ujrawszy to kapitan, zakrzyknął przez szereg majtków: „Dalejże! mężowie, siadajcie do łodzi, a ratujcie tego walczącego! Kto się odważy, ten zostanie hojnie wynagrodzony!” Nikt ze szeregu majtków nie chciał wystąpić. Kapitan zawołał po raz trzeci i czwarty. Lecz wszyscy pozostali niemymi.

„Naraz Tomasz, który dotąd nieruchomy stał obok mnie, wystąpił z pomiędzy nas na środek. „Nie za nagrodę“, zawołał, „bynajmniej, za żadną cenę, tylko, że tonący jest moim współbratem, odważę się na ratunek nieszczęśliwemu!“ Spuściwszy się na dół, odwiązał łódkę, wskoczył do niej i z siłą najśmielszego majtka przebił się przez pęd wichru i bałwanów. W krótkim czasie udało mu się szczęśliwie kapitana dostać do łódki obok siebie. Z podwójną siłą sterował teraz napowrót do brzegu. I nieomal już go miał dosięść — gdy naraz przed jego oczyma bałwan zakręcił się lejkowato i porwał ze sobą czółno w bezdenną przepaść. W tej chwili udało się kapitanowi uchwycić linę ratunkową, którą mu z brzegu rzucono. Kiedy go na ląd wyciągnięto, był bez zmysłów.

Lecz łódka z nieszczęśliwym Tomaszem długo się nie pokazała. Nareszcie znów ją było można dojrzeć na pianą okrytej powierzchni pomiędzy ryczącymi falami, lecz daleko, daleko oddaloną od brzegu. Wtedy Tomasz, dobywszy ostatniego głosu, krzyknął na mnie: „Towarzyszu! idź z miłości ku mnie do mojej ojczyzny! Pozdrów żonę moją i synów moich. Zanieś im moje ostatnie błogosławieństwo! Powiedz, że popłynąłem do błogosławionej krainy — do wieczności, gdzie spodziewam się ich znowu...“

„Ujrzeć!“ chciał powiedzieć. Lecz przy tych ostatnich słowach pochłonęło go morze... I pod bałwanami leży pogrzebany!...

Tu skończył majtek. Głos jego drżał i wielka łza spłynęła mu z oka po brodatym policzku.

Kiedy potem matka i synowie niemo patrząc przed siebie nie mogli przyjąć do słowa, rozwinął swój płaszcz majtkowski i podał wdowie kapelusz.

— Po dwóch dniach, gdy burza ucichła — rzekł — wyrzuciło morze jego kapelusz, jakoby ubolewało, że pochłonęło tak pocziwego człowieka. Kapelusz ten znaleźliśmy nad brzegiem, gdyśmy tam jeszcze raz poszli, aby jaki ślad po nim odkryć.

Biedna wdowa, uchwyciwszy prędko kapelusz jej zmarłego małżonka, przycisnęła go ze wzruszającym oznakiem boleści do swej piersi.

— Tak! — zawołała — to on jest! Tutaj tkwi jeszcze kokarda irlandzka, którą mu na ostatni podarek kupiłam, gdy go na wiosnę aż do miasta odprowadzałam. Więc teraz dopiero pojmuję, czemu tak oboje przy rozłączaniu się musieliśmy płakać. O Tomaszu, drogi mój małżonku, wtenczas był to ostatni raz, jak cię twoja wierna żona oglądała.

I wybuchnąwszy na nowo głośnym płaczem upadła bezprzytomnie na ławkę.

Nadszedł wieczór, rozciągając gęstą mgłę nad jeziorem, a przenikliwy wiatr jesienny powiewał po dolinie.

— Wstań, matko — rzekł Józef — pójdźmy do chaty!

I Feliks podniósłszy ją, chciał jej podać ramię, aby ją podpierać.

Lecz ona pozostała jeszcze, jak przedtem i trzymała kapelusz Tomasza w ręku.

— Tej pamiątki — rzekła, jakby chciała dalej ciągnąć swą poprzednią mowę — tej pamiątki nie puszcze od siebie tak długo, póki żyć będę! I kiedy mnie synowie moi do grobu włożą, niechaj pamiątka ta spoczywa przy mnie w miejsce mego Tomasza.

Nakoniec podniosła się, spojrzawszy ku niebu, zawołała silnym głosem, który był wyrazem jej skupienia ducha:

— O najmiłosierniejszy wielki Boże, daj staremu mojemu Tomaszowi, naszemu niezapomnianemu ojcu kochanemu, spokój wieczny!

I poszła ze synami i majątkiem do chaty.

Ryby ułowione wędką Józefa i zdobycz Feliksa, mające być dla ojca, podali ze łzami w oczach przybyszowi. Sami zaś nic nie jedząc, usiedli w milczeniu w najciemniejszym kącie izdebki.

Nareszcie nabożna modlitwa za zmarłego ojca zamknęła ich czerwone od płaczu oczy do pokrzepiającego snu.

Na drugi dzień rano podziękował majtek za gościnność i miłe przyjęcie, a pożegnawszy się z rodziną, opuścił ciężko zasmuconą chatę irlandzką, aby powrócić do swego zatrudnienia w zatoce morskiej przy Dublinie.

Gdy pierwsze promienie słońca jesiennego dolinę oświeciły, wyszła stara Tomaszowa z synami swymi przed chatę.

— Moje dzieci! — rzekła, stojąc nieruchomo pod drzewami — tu postawmy pomnik, który ma być świętym, nie tylko dla was, ale i dla dzieci i wnuków waszych w najpóźniejsze czasy.

Feliks odszedł, a niedługo powróciwszy, przyniósł kamieni bazaltowych; Józef ułożył z nich pagórek, a matka uplotła wieniec z róż wodnych i gałązek wierzby płaczącej.

Podczas tej cichej pracy wiał wietrzyk poranny przez struny harfy, którą Józef oparł o chatę. Struny uderzane powiewem wiatru wydobywały z niej żałosne głosy!

Stara Tomaszowa, ukłękawszy, modliła się z synami:

„Płynie na łódce życia niebezpiecznej

Ojciec nasz na błogosławione wybrzeże! —

My stojąc po drugiej stronie, błagamy: „O Boże!

Ach! przyjmij go do Twojej chwały wiecznej!“

Po tej modlitwie ujęła matka spokojnie i wesoło ręce synów.

— Nieprawda? — rzekła — że opuszczonej wdowie będziecie pomagali tak długo, jak jej krótkie życie potrwa. Bo tak Bóg chce, że i ona wkrótce popłynie na tamten brzeg do wieczności ku swemu Tomaszowi. Przysięgacie mi więc, że przestroż waszego ojca aż do grobu nie zapomnicie.

Feliks i Józef dali jej przysiężenie, zapewniając ją ze łzami w oczach, że wszystko dla niej czynić będą, co tylko jest w ich mocy.

Wschodzące słońce wyrzało z za pagórka i promiennym swym blaskiem otoczyło ten nowy związek rodzinny.

Macierzyńskie postanowienie.

Czas wreszcie zagoił cokolwiek ranę po stracie małżonka i ojca. Powoli upływały ostre dni zimowe, podczas których musiano w zamkniętej chacie, przy ciepłym kominie, spędzać czas na smutnych rozmowach. Słońce potem nadeszłej wiosny i widok kwitnących łąk i pól osuszył łzy zasmuconej rodziny.

Tomaszowa krzątała się około gospodarstwa, zastępując małżonka i zarządzając jak należało. Józef, ulubieniec matki, był zawsze przy niej najbliższym. Uprawiał, jak przedtem, pola i łąki i zaopatrywał chatę w najpotrzebniejsze narzędzia do gospodarstwa. Bydło rogate pod jego opieką chowało się dobrze i wkrótce doczekano się małej trzody, której sam w piękne dni znosił na paszę trawę rosnącą wzdłuż brzegu. Jezioro oddał całkiem opiece starszego brata, bo nie mógł od czasu owej smutnej nowiny pozbyć się wrażenia i strachu, jaki go nappełnił widok wodnej kurki, wynurzającej się z nadbrzeżnego sitowia.

Feliks, jak dawniej był starannym, bywał najwięcej w lesie sosnowym i trudnił się polowaniem na zwierzynę. Z największą też chęcią objął sobie oddane rybołówstwo.

Tak wszystkim znowu upłynął rok przy wiernem spełnianiu rozdzielonych pomiędzy siebie zatrudnień. Chociaż rocznego zarobku brakowało, który ojciec na jesień do domu przynosił, to mimo tego rodzina ta zarobiła tyle, że nie cierpiała biedy. Co więcej, mogła nawet małą sumkę zaoszczędzić z dochodu, jakie przynosiło polowanie i rybołówstwo, odkładając ją starannie na gorsze czasy.

Lecz powoli obudziła się na nowo w sercu Feliksa dawna skłonność do wesołych lekkomyślności.

Nie doglądał już tak pilnie lasu, nie latał już tak chciwie jak dawniej dokoła na polowaniu i z wielką niechęcią szedł z siecią na brzeg jeziora.

Wieczorem po skończonem zatrudnieniu, lub w dnie świąteczne starał się Feliks pod rozmaitymi pozorami matce i bratu z domu się wymknąć, aby tylko mógł z pobliskiego pagórka przysłuchiwać się wesołym fujarkom i irlandzkiemu wykrzykiwaniu sąsiadów z drugiej doliny.

Naraz ocknęło się w nim pragnienie, aby pójść do nich, — i zapomniał przy tańcu i zabawie o przestrogach i śmierci ojca. Zapomniał o matce, zapomniał o bracie, którzy spokojnie w chacie siedzieli.

Zasmuciło to bardzo matkę, i porówno z Józefem, który się nigdy od jej boku nie oddalał, chyba, że musiał iść na jarmark do miasta, aby ich towary sprzedać, ubolewała nad Feliksem.

— Twój brat — mawiała matka do niego — jeszcze dotychczas swych dawnych namiętności ze serca nie wytepił. Sprawia mi on przez to nieskończenie wielkie kłopoty. Będzie on zaniedbywał swe obowiązki, a w końcu tak daleko z nim przyjdzie, że wszystko przepuści w zabawie, tańcu i lekkomyślności, cośmy przez pilność i oszczędność w modlitwie o błogosławieństwo Boskie uzyskali. Skromna chata nasza zostanie zrujnowaną. Niestety! zapóźno uzna, jak lekkomyślnie sobie postąpił!... Żal za popełnione uchybienia skruszy go i w rozpacz nie będzie wiedział, jak sobie ma pomódz. Bo gdy tak już głęboko ugrzęźnie w marności światowej, to ani w modlitwie nie znajdzie pociechy, bo jego modlitwa tylko przez wewnętrzne udręczenia będzie wymuszona. Ach! nie weźmie to dobrego końca!... Józiu, trzeba myśleć nad jakim środkiem, aby go w dobry sposób przykuć do naszego ogniska domowego.

Słowa te wyrzekła ze łzami, bo jej serce macierzyńskie pękało z żalości na myśl, jaka przyszłość oczekuje jej syna.

Józef kochał wielce swego brata, więc pewnego razu poprosił go na przechadzkę w pole. Kiedy tak szli obok siebie, podziwiając kwiaty i owoce polne, odezwał się Józef:

— Kochany bracie, jakby ci to było na sercu, gdybyśmy te pola wkrótce dla innego musieli uprawiać? i gdyby zarobek z twego zmudnego polowania na zwierzynę i ptactwo komu innemu należał?

— Jakby się to stać mogło? — odparł spiesźnie Feliks — przecież jesteśmy w słusznym posiadaniu wszystkiego, co w naszej małej dolinie rośnie, żyje i obradza się?

— Dotychczas jeszcze — ciągnął dalej Józef — teraz tak długo, dopóki wspólnie pracujemy i nasze powinności jako synowie i bracia wypełniamy, tak długo, jak wiernie czynimy to, cośmy naszemu zmarłemu ojcu przy ostatniem pożegnaniu i zasmuconej matce przy pomniku ojca przyobiecali. Feliksie, mój najukochańszy bracie, pozwól mi na jedno szczere słowo i pozwól mi otworzyć moje serce braterskie. Bracie, matka płacze i ubolewa nad tobą, ponieważ na nowo do starego popędu twego, do gry, tańca i lekkomyślnych zabaw wróciłeś. Feliksie, pozostań z nami w domu i zatrzymaj wespół z nami zaoszczędzony grosz twój. Pozostań, a ja cię moją harfą zabawię, tak, że ci ostra zima tak prędko przejdzie, jak noc majowa!

Feliks stanął zakłopotany i nieruchomo patrzył na swego brata; na taką mowę nie był przygotowany. Łza, która mu w oku zabłysła, była jednakże dowodem, że słowa brata trafiły mu do serca. Jednakże дума pierworództwa stłumiła jego łzę.

— Dlaczegoż — rzekł chłodno — nie życzyście mi po całodziennem zmudnem uganianiu się za zwierzyną tej tak krótkiej uciechy? Tobie, ulubieńcowi matki, wystarcza, jeśli w domu za twą leżąca pracę polną dostaniesz miłe spojrzenie, którem cię matka tak tkliwie obsypuje. Cóż mi więc pozostanie, gdybym się

nie roztargnął z sąsiadami po uciążliwem polowaniu? Że mnie nie kochacie, widzę to już ze słów nagany, którą mi młodszy brat wypalił.

Tak wołając Feliks obrócił się plecami do brata, pospieszył przez pagórek ku stronie, skąd go dolaatywał głos fujarek i wykrzyków.

— Feliksie, mój bracie drogi! — wołał za nim Józef — my cię kochamy! Pójdźże, pójdź! Wróć się napowrót do naszego zacisza!

Lecz Feliks nie słyszał go i wnet zniknął za pagórkiem.

Zasmucony Józef wrócił sam do chaty.

— Jak mi się zdaje, wyszliście obaj razem — zapytała matka. — Gdzie jest Feliks?

Józef, nie chcąc zaraz mówić, zaczął płakać. W końcu, po długiem naleganiu matki, przyznał się, co zaszło. Matka przycisnęła zapłakana dobrego syna do swej piersi.

— Bądź spokojny, Józiu! — rzekła. — Modliłam się gorąco do Boga! On wzruszy jego serce!

Potem usiadłszy spokojnie, chciała czekać, aż syn powróci. Lecz wybiła godzina północna, a Feliks nie wracał.

Na drugi dzień rano, gdy weszła do jego pokoju, zastała go wyciągniętego na posłaniu, znużonego po nocnym tańcu.

— Już rano, mój synu — rzekła wzruszonym głosem — już rano przychodzę do twego łóżka, aby ci objawić, jak bardzo cię kocham. Feliksie, w duszy mej dojrzało postanowienie, którebym w krótkim czasie chciała wykonać. Ty wiesz, że jestem stara i słaba; i przed laty utraciłam nieomal wzrok od płaczu nad stratą twego ojca. Gospodarstwa naszego nie mogę już więcej opatrywać. W małej izdebce naszej chatki życzę sobie spokoju, aż moja godzina wybije. Feliksie, pod swoją opiekę oddaję nasze mienie! Idź więc do swej doliny, wyszukaj sobie córkę z najporządniejszej rodziny — przyprowadź ją tu; chcę

ją pobłogosławić. Przy boku wiernej i kochającej małżonki będzie ci ta cicha izdebka świątynią, a ty nie będziesz gdzieindziej gonił za uciechami. Roztropnie i mądrze ma się twa małżonka krzątać w domu. Ja, jako matka, będę jej dobrą wolę moimi doświadczeniami podtrzymywała. Brat Józef zaś będzie ci z radością służył za parobka.

Feliks podniósł się z posłania. Słabość jego nagle go opuściła. Niespodziane oświadczenie matki tak nim zachwiało, że zapomniawszy języka w gębie, upadł jej do nóg i objął za kolana.

— O! sprawiłem wam boleść — zawołał, a żal najszczerzy wycisł mu łzy z oczu. — Lecz zaiste! naprawię znowu moje błędy! Ach, przebacz mi matko, przebacz, proszę bardzo!

— Z największą radością, mój Feliksie — rzekła matka i podniosła go ku swej piersi — skoro mi szczerze i uroczyście przyrzeczesz, że z twą małżonką będziesz żył w spokoju, w modlitwie do Boga, i wypełniać będziesz twoje obowiązki, jak cię twój zmarły ojciec nauczył, jak u twojej matki widziałeś.

Feliks przyrzekł na nowo uroczyście. Józef, przysłuchujący się wszystkiemu z radością na dworze, wszedł teraz do chaty i rzucił się bratu swemu w otwarte ramiona.

W kilka tygodni później poprowadził Feliks skromną, uczciwą i cnotliwą dziewczynę do ołtarza. Antosia jedynaczką była pewnej ubogiej, lecz pobożnej wdowy z sąsiedniej doliny. Już od kolebki przyzwyczajoną była do bogobojnego życia i odznaczała się też dobrymi przymiotami od innych dziewcząt.

Stara matka pobłogosławiła Antosi, kiedy ta weszła do nowego gospodarstwa.

— Oby Bóg dał — rzekła do niej — żeby swój spokojny umysł zdołał syna mego w granicach naszej chaty przytrzymać. Czem mu masz być, moja córko, nie potrzebuje ci wcale mówić. Twoje delikatne uczucie, miłość i szacunek, który chowasz ku

niemu, dają mi to mocne przekonanie, że będzie miał w tobie małżonkę, jakiej mu moja macierzyńskie serce najgoręcej życzyło.

Słowa te wypowiedziała mocno wzruszona. Wtem nadszedł Feliks.

— Bóg Wszechmogący niechaj wam udzieli pokoju — dodała, kładąc ręce na głowy obojga — i pobłogosławi waszemu gospodarstwu.

W e r b o w n i k.

Sześć lat upłynęło po śmierci starego Tomasza, a pięć lat już prowadził Feliks ze swą cichą Antosią w spokoju i zobopólnem przywiązaniu gospodarstwo domowe. Ani razu mu w tym upłynionym czasie nie przyszło na myśl szukać uciechy przy irlandzkiej fujarce. W lecie podczas dni słotnych i przez ostry czas zimowy siedział rozweselony w gronie drogich mu osób, przysłuchiwał się pouczającym naukom matki, lub też szkockim podaniom, których setkami musiał Józef opowiadać i śpiewał z Antosią przy wtórowaniu brata na harfie.

Całym sercem cieszyła się matka, dziękując Bogu w cichych łzach, że jej zamiarowi na dobro Feliksa pobłogosławił.

Większą jeszcze radością była dla staruszki miła nadobna wnuczka, którą już od lat czterech na swem łonie kołysała. Piękne to dziewczę, noszące imię Emilii, tak się do swej babki przyzwyczaiło, że nie inaczej, jak tylko z płaczem można ją było od niej oderwać. I tylko w nocy, gdy już była bardzo śpiącą, musiał ją ojciec do łóżka położyć, opowiadając jej zawsze coś nowego, tak długo, aż jej oczki sen skleił.

Józef prowadził dalej swe czynności jak dawniej. Nie był on parobkiem, jakim chciał zostać, lecz pozostał w prawdziwym znaczeniu bratem Feliksa. Tak pracując wspólnie, każdy we wyznaczonym sobie za-

kresie, rozmyśliwali nabożnie o Bogu, od którego wszystko dobre pochodzi, siadali zgodnie razem do obiadu, poczem znowu pracowali, aż wieczór nadszedł i członki spoczynku potrzebowały. — Mogło więc gospodarstwo chaty irlandzkiej posłużyć za wzór każdej rodzinie w całej okolicy.

Pewnego razu usiedli w wieczór przed jarmarkiem, który się odbywał rok rocznie w miasteczku Brai, razem do wieczerzy.

— Feliksie — odezwała się matka — czy nie chciałbyś jutro pójść na jarmark do Brai sprzedać przędzę, którą z Antosią przez zimę uprzedłam? Płótna mamy dosyć w skrzyni i możemy się łatwo bez niego obejść. Za to przyniesiesz pieniądze do domu, które będziemy mogli do drugich oszczędzonych złożyć. Także ryb i dziczyzny możesz ze sobą nabrać. Panowie w mieście bardzo radzi to jedzą. Wiem jeszcze z czasów mego zmarłego Tomasza, który w swej młodości wiele funtów na plecach tam zaniósł.

— Jak chcesz, matko? — odparł Feliks.

A Józef dodał:

— Pójdę z nim, jeżeli nie będziesz miała nic przeciw temu, matko? Dla brata samego byłoby to brzemię za ciężkie, więc możemy się w drodze do miasta przemieniać.

Matka z zadowoleniem kiwnęła głową. Wtedy bracia uporządkowali sobie jeszcze wszystko w nocy, aby mogli wczas rano wyruszyć w drogę do miasta.

Zaledwie dzień zaświtał, stali już obaj gotowi do podróży w chacie. Feliks pożegnał się z matką i żoną, Józef znowu z matką i bratową.

Stara Tomaszowa poczęła płakać, gdy jej Józef rękę podawał.

— Nie puszczę cię dzisiaj — rzekła żałośnie — o! gdybym ci to wczoraj nie była słowa dała!... Dzisiaj w nocy wycierpiałam wiele dla ciebie. Okropny sen spędził mi dzisiaj sen z powieki i nie miałam

spoczynku. Józiu, mój kochany synu, staraj się, abys mi zdrowo powrócił.

— Matko — odpowiedział Józef wesoło, aby smutek od matki odpędzić — nie obawiaj się. Przecież sam nie pójdę. Brat Feliks z chęcią będzie stał po mej stronie, gdyby mnie coś nieprzyjemnego spotkać miało. I czy to po raz pierwszy idę na jarmark do Brai? Przyniosę ci z miasta bardzo dobrej herbaty i najlepszych sucharków, żebyś się mogła uraczyć za obawę, którą o mnie teraz znosisz.

— A ja — rzekł Feliks — przyniosę mej lubej Antosi nowe trzewiki i różową wstążkę jedwabną, a małej pięknej Emilci ładną zabawkę. Lecz nie smućcie się! Ty kochana żono, pilnuj wiernie matki, aż powrócimy. Nim noc nadejdzie, jesteśmy z miasta napowrót.

Po tych słowach opuścili chatę i szli wesoło drogą prowadzącą do miasta.

— Mnie coś jakby kamieniem ciśnie na sercu — odezwała się stara Tomaszowa do swej synowej, gdy już obaj udali się w drogę. — Gdybym ich też dzisiaj nie była puściła! Lecz czy to wczoraj sama życzenia mego nie objawiłam? Antosio, będziemy się modliły za nich, aby nam ich Bóg znów szczęśliwie przyprowadzić raczył. Ach, ty stracisz na Feliksie tyle, co stara matka na swym Józefie!

Poczem usiadłszy do swej roboty, modliły się, a myśli cały dzień były tylko o nieobecnych.

Feliks zaś i Józef odbywali drogę olbrzymimi krokami ku miastu. Skazówka zegaru na bramie miejskiej jeszcze na godzinie dziewiątej nie stanęła, gdy ci już przez stary zwodowy most weszli na bardzo ożywioną ulicę.

— Zaczekaj tylko na chwilkę — odezwał się Feliks do swego brata — a powiedz mi, czy nie odbija ci się jaki dźwięk o uszy? Mnie się zdaje, jakbym słyszał w pobliżu dźwięk irlandzkich fujarek i bębnow!

— Tak, masz słuszość, bracie — odparł Józef — lecz cóżby to miało znaczyć? . . .

Poszli potem kilka set kroków dalej aż na miejsce, skąd mogli na inną patrzeć ulicę. Oto ujrzeli na obszernej miejscy wielkie mnóstwo ludzi, których ubiór i ruchy ciała od innych dziwnie się odróżniały. Gromadami siedzieli przy stołach, obstawionych kieliszkami i flaszками z wódką. Młodzi parobczacy w ubiorze rekruckim tańczyli po muzyce wielkich multanek, które przystrojono w kwiaty. Odgłos sześciu bębnow dawał do tej muzyki takt miarowy. Wśród muzyki słyhać było okrzyki wesoło tańczących, którzy kapelusze przystrojonymi w irlandzkie kokardy, wysoko w powietrzu wywijali. Niedaleko od tych była druga grupa, gęsto jeden przy drugim w rzędzie i śpiewała tę piosnkę:

(Mel.: „Wesoło żeglujmy, wesoło!“)

„Wesoło przy grze i śpiewie,
Upływa życie majtkowi!
Wódka mu siły dodaje,
Gdy zbliża się ku brzegowi.
Tańczmy, grajmy i śpiewajmy,
Dzielni rekruci, i pijmy!

Żołnierzom z ładu stałego,
Jest tam i śpiew nic nowego!
Suchary, grok i gorzałka,
Wystarczy dla majtka śmiałka.
Tańczmy, grajmy i śpiewajmy,
Dzielni rekruci, i pijmy!

Dziś żyje bez troski sobie,
Grają mu wesoło gracze,
Legnie jutro w mokrym grobie,
A nikt po nim nie zapłacze.
Więc dzisiaj jeszcze śpiewajmy,
Dzielni rekruci, i pijmy!“

— Co to za prześliczna muzyka — rzekł zachwycony Feliks do swego brata — brzmi to inaczej, jak odgłos kobzy i fujarek naszych wieśniaków. Mógłbym tu kilka godzin pozostać, a wcale bym się nie znudził. Ale czas nam nie pozwala tu dłużej pobawić. Droga na targowisko jeszcze daleka, a nam spieszno, abyśmy nasz towar sprzedali. Potem, gdy będziem gotowi, możemy się jeszcze przez pół godziny wesołej zabawie przypatrzyć. Teraz pójdź, bracie!

Józef widząc, jak pilnie brat jego przysłuchiwał się śpiewowi i muzyce, a bynajmniej nie przeczuwając, iżby w sercu jego mogła się stara namiętność odezwać, rzekł:

— Jeżeli chcesz, to tu zostań! Towar nasz sam na targ zaniosę. Za godzinę możesz przyjść za mną; będę stał na tem samem miejscu, gdzie zwykle nasze towary sprzedajemy i będę cię oczekiwał!

Zdjąwszy więc Józef brzemień z ramion Feliksa, który się nadzwyczaj na oświadczenie brata uradował, pospieszył przez ulice ku targowisku.

Miał szczęście wkrótce swój towar sprzedać i to za wyższą cenę, aniżeli się spodziewał.

— O! — rzekł sam do siebie — jak się też matka i bratowa ucieszą, gdy tak piękną sumkę do domu przyniosę!

Godzina, po upływie której brat Feliks miał na targ przybyć, już minęła, a onęgo jeszcze nie było widać. Nie mógł sobie Józef jego spóźnienia długo wytłómaczyć. W końcu przypomniała mu się stara namiętność brata i straszne przeczucie opanowało naraz jego serce i członki.

— Jeżeli on się znowu nie zapomniał! — pomyślał z głębokiem westchnieniem; — czemuż go też samego zostawiłem!?

Czekał jeszcze dwie godziny na temże samem miejscu, lecz napróżno. Tu nagle opanowała go obawa o brata, i co sił starczyło pognął z targowiska na miejsce, gdzie się byli rozłączyli.

Ale jakież było jego zdziwienie, gdy tu przybiegłszy nie ujrzał nikogo; wyglądało tu, jakby wymiotti. Ani okrzyków, ani dźwięku fujarek, ani bicia bębnów nie było słyszeć daleko i szeroko. Józef nie wiedział, co począć, a strach i złe przeczucie wzmagalo się z każdą minutą.

Na szczęście w niedalekiej odległości ujrzał Józef starą kobietę, siedzącą na kamieniu narożnym, sprzedawającą pieczone kasztany. Pospieszył więc do niej:

— Nie moglibyście mi, kobietko, powiedzieć — zapytał — dokąd ta chałastra z bębnami i fujarkami się udała?

Stara spojrzawszy na niego wielkimi oczyma, podniosła przestrzegająco wskazujący palec.

— Chłopcze — rzekła — dlaczegoż się pytasz o tych ludzi? Uciekaj, uciekaj, bo to są werbownicy rekrutów. Ani się nie spodziewasz, a już będziesz w ich mocy i już się nie będziesz mógł uwolnić. Już oni mędrszych zuchów, jak ty jesteś, podeszli i schwytali. Uciekaj, ostrzegam cię jeszcze raz, uciekaj z miasta, tak prędko, jak tylko możesz, a nie daj się zwać przez bębnienie, dźwięk fujarek i upajającą wódkę!

— Bardzo was proszę, kobieto — przerwał nagle Józef przestrzegania sprzedawczki — powiedźcie mi o ich pobycie, jeżeli wam ono wiadome.

— Ano — odrzekła stara — kiedy moja szczerza przestroga na nic się nie przyda przeciw twej młodej upartości, idź na twą zgubę i na smutek twej rodziny... Tam w oberży są ci bezbożni ludzie zgromadzeni.

I wskazała na dom narożny w górnej części ulicy. Józef pobiegł tam co tchu, tak, że zaledwie wołanie kobiety: „chłopcze, będziesz żałował, lecz już będzie zapóźno!“ za sobą mógł zrozumieć.

Będąc już blisko wskazanego sobie domu, usłyszał znane mu pischzałki i bębienie. Nie namyślając się wcale, wszedł do wnętrza i starał się przez zgra-

ję pijanych werbowników i rekrutów przecisnąć do głębi zapijających biesiadników. Po długiem usiłowaniu udało mu się narazie tam dotrzeć. Lecz postąpiwszy dalej, gdy spojrzał na gromadę, stanął jak gromem rażony.

Cóż bowiem ujrzał? . . .

Feliks pijany stał oparty o ścianę, a dokoła otaczał go rój owych strasznych ludzi. Jeden żołdak przypinał mu właśnie przy wojennym okrzyku tej gromady i biciu w bębny, kokardę do kapelusza.

Jak się to stać mogło?

Oto nieszczęśliwy Feliks, gdy Józef idąc na targowisko od niego odszedł, dał się swej burzliwej namiętności, która przy owej szalonej okazji na nowo w nim odżyła, opanować — i zapomniawszy o bracie, poszedł za wesołą zgrają do oberży. Werbownikom wpadł on zaraz w oczy. Przystąpiwszy ku niemu, nazywali go towarzyszem i podali mu kieliszek z wódką. Feliks wdał się z nimi w rozmowę. Werbownicy atoli natychmiast zmiarkowawszy, jaka namiętność się w jego sercu ukrywa, zaprosili go do swego grona, aby z nimi śpiewał. Teraz zupełnie inaczej działało się koło niego. Na nowo napełnili jego kieliszek wódką. A on oddawszy się całkiem upajającemu trunkowi, wypił znowu jeden i drugi. W ognistej rozmowie dał im swoje słowo, zapomniawszy już o matce, o żonie i o dziecku.

Tak go zastał Józef, który z litości nad swym nieszczęśliwym bratem obficie łzy wylewając, uniósł się wreszcie gniewem nad takim bezbożnem postępowaniem. Drżał na całym ciele, i gdyby to było w jego mocy, byłby się zemścił nad nieludzkimi werbownikami.

— Feliksie, bracie! — zawołał Józef głosem serce rozdzierającym — na Boga! cóż się to z tobą stało? Czy to zapomniałeś na śmierć twego ojca i na twą starą matkę i twą kochaną małżonkę i twe dziecko? Proszę i zaklinam cię na moją miłość braterską, bra-

cie, pójdź ze mną do domu! Jakem żyw, tu nie jest miejsce dla ciebie! Pójdź do twojej matki, małżonki i twego dziecka!

Na widok brata swego, tak narzekającego, oprzytomniał Felks, rzucił mu się w objęcia i zaczął gorzko płakać.

Pomiędzy tłumem dzikiego ludu nastąpiło teraz wzruszenie. Głośny szmer przenosił się z jednej ławki na drugą. Nakoniec otoczono obu braci, a przywódca werbowników wystąpił naprzód.

— Cóż to jest? — zaryczał dzikim głosem na całe gardło. — Cóż to ma znaczyć? Cofnij się chłopcze! Twój brat do nas należy! Dał nam już swoje słowo! Przez męskie „tak“ zobowiązał się być żołnierzem!

— To nie może być! — odrzekł Józef nieustraszony — kłamiecie! Brat mój nigdy ani nie pomyślał o tem, aby opuścić swą starą matkę, żonę i dziecko. Mówże Felksie, a skarcć kłamstwo tych okrutników.

Feliks pełen wstydu i skruchy spuścił wzrok ku ziemi.

— Niewiety! jest to prawdą — wykrztusił — lecz przez pochlebstwa i wódkę, przez okrzyki i bicie w bębny, a w końcu nawet groźbą wymuszono na mnie słowo przyrzeczenia!

Józef stał jak skamieniały.

— Och! — zawołał rozpaczliwie — to strasznie! Więc słabość brata mego wyzyskaliście, aby go rodzinie odebrać i ją wraz z nim wtrącić w nieszczęście! Wy wszyscy, którzy się tu w dzikich hałasach bawicie, w domu musicie nie mieć ani ojca, ani matki, ani żony, ani dziecka, ponieważ tak niegodziwie postępujecie, a do tego możecie się jeszcze cieszyć z waszych niegodziwych uczynków.

Przymówka Józefa nie zrobiła wrażenia na twardej sercach rekrutów i werbowników. Większość zaczęła się śmiać. Niektórzy nawet obdarzyli go kłakiem. Lecz przywódca inaczej to zrozumiał i nie mógł się wstrzymać, aby nie wykrzyknąć głośno:

— To mi jest dopiero młody, a śmiały zuch! Zaprawdę, wołałbym go, aniżeli jego brata!

Józef usłyszał ten okrzyk. Stał na chwilę spokojnie, jakby coś rozważał, a potem przystąpił do przywódcy i podał mu rękę.

— Dobrze! — odezwał się — uwolnijcie mego brata, a ja... ja będę waszym żołnierzem!... Wprawdzie mam starą matkę w domu, lecz brat mój ma matkę, żonę i dziecko!

Na słowa jego rozległ się głośny okrzyk radości. Zdjęto zaraz kokardę z kapelusza Feliksa i przypięto ją Józefowi. Feliks rzucił się na nowo bratu w objęcia.

— O mój najdroższy bracie! — wykrzyknął, trzymając go za szyję.

Więcej jednakże nie mógł od łez i wzruszenia wymówić.

Podczas tego grzmiały na wszystkich ławach i stołach „śmiałemu młodzikowi“, jak Józefa nazywali, przy pełnych kieliszkach wódki tysięczne wiwaty, aż naraz na rozkaz, że rekruci mają do pułku pospieszyć, wszyscy kieliszki wypróżniwszy, dzikie zakończyli okrzyki.

Pochód ruszył we wzorowym porządku przez ulice miasta.

Feliks odprowadził jeszcze brata kawał drogi. Właśnie doszli do narożnika, gdzie siedziała owa przekupka, która Józefa przed chwilą ostrzegała. Skoro nadeszli i skoro pocziwa przekupka Józefa w szeregu dojrzała, zasmuciła się mocno.

— Widzisz, chłopcze — rzekła żałośnie — ja cię przestrzegała!

— Kobieto! — odpowiedział jej na to Feliks — on swoją za moją wolność poświęcił, aby mnie, brata swojego, uwolnić.

— Kiedy tak, to niechaj go Bóg Wszechmogący ma w Swojej opiece! — zawołała stara wzruszona. — To mi jest piękny czyn, na jaki najpocziwszy

młodzieniec jeszcze się dotąd nie odważył. Przyjmij moje błogosławieństwo, chłopcze, i miej mocną wiarę, że Bóg szlachetne czyny hojnie wynagradza!

Orszak rekrutów zbliżył się do bramy miejskiej, przez którą droga Feliksa prowadziła do rodzinnej doliny. Tutaj musieli się oboje rozłączyć. Feliks powtórnie zalewał się łzami, kiedy brata po raz ostatni ścisnął.

Józef wyciągnawszy z kieszeni list, który w oberży wśród zgiełku prędko napisał, podał go bratu:

— Feliksie! — rzekł, starając się łzę zatłumić, która mu oko zalewała — pozdrów mi twą żonę i dziecko, a przede wszystkim naszą kochaną matkę. Oddaj jej ten list i staraj się ją pocieszyć i rozweselić, jak tylko możesz. Więc do widzenia! A niechaj cię ostatni pocałunek braterski strzeże w przyszłości przed powrotem do starych błędów. Feliksie, dziękuję Bogu, że mi wlał tyle odwagi do serca, iż mogłem za ciebie tę ponieść ofiarę... Bywaj zdrow!

Ze łzami w oczach skierował Feliks kroki swe przez most zwodzony ku ojczystej dolinie. — Józef zaś szedł smutny do pułku.

Powrót.

Słońce już dawno zaszło, a stara Tomaszowa siedziała jeszcze przed chatą, czekając z macierzyńską troskliwością na swych synów.

Wysłała naprzód Antosię na pagórek, aby zobaczyła, czy jeszcze nie wracają.

— Bardzo mnie to dziwi — rzekła sama do siebie — że ich tu jeszcze nie widać. Mój ukochany Józef przecież spieszy się zwykle do domu.

Antosia wróciła.

— Cóż więc widziałas, córko? — zapytała stara Tomaszowa.

— Zdala widziałam, że ktoś spieszy szybko — odrzekła Antosia — lecz nie mogłam rozróżnić, czy jest jeden lub więcej. Bądź spokojną matko! Feliks poszedł zapewne za śladem zwierza. Przecież znasz tego zapalonego myśliwca. Józef zaś nie powróciłby sam bez brata, więc to obydwóch zatrzymuje.

Przy rozmaitych rozmowach i zabawie z małą Emilcią upłynęła znowu godzina.

Aż naraz Feliks wyszedł z chaty. Umyślnie zboczył on z drogi, aby mógł się zbliżyć niespostrzeżony, bo myślał, co matka powie, jak przyjdzie bez brata, tak go przestraszyła, że drżał, obawiając jej się na oczy pokazać.

— Gdzież jest mój syn? — zawołała matka, skoro go spostrzegła.

Feliks zbladł jak ściana, a upadłszy matce do nóg, zaczął szlochać.

— O matko, nie odrzucaj mnie od siebie! — zawołał z ciężkim bólem — ja to jestem winny, żeś twojego syna utraciła!

Wśród łez i łkania zaledwie mógł tyle wydobyć, że go matka zrozumiała, co zaszło. Słyszając to, rozplakała się, gdyż boleść o stratę syna wielce raniła jej serce. Antosia stojąc przy niej także płakała.

— O Feliksie! Feliksie! cóżeś uczynił?! — narzekała matka — lecz nie chcę cię wyrzutami martwić, gdyż wyrzuty twego sumienia, żeś starej matce odebrał syna, będą cię już z tego powodu aż zanadto dręczyły. Nie mogę już być złą na ciebie, boś dał bratu twemu sposobność pokazania, jak bardzo cię kocha... Czy mi Józef nie przysyła żadnego pożegnania?

Tu Feliks, ciągle jeszcze szlochając, wyciągnął list z kieszeni.

— Antosio! — rzekła matka — weźmij ten list, a przeczytaj mi te słodkie słowa.

Antosia, otworzywszy list, czytała:

„Józef do swej kochanej matki!

Wpierw, nim tobie, kochana matko, wypowiem czułe słowo pożegnania, proszę za mego brata, abyś mu błąd przebaczyła, który popełnił, że już nie mogę powrócić. Wina tych, którzy go podeśzli i jego słabości nadużyli, jest większa, aniżeli jego własna. Będzie on ci, jak ufam, zastępował miejsce twego Józefa, zwłaszcza, że jest tylko sam jedyny. Twój zaś Józef nigdy o tobie w dalekich stronach nie zapomni.

Urządę tak, że żołd mój na pół rozdzielę, i jedną połowę dla ciebie przeznacę, po którą Feliks może od czasu do czasu przychodzić do miasta.

Chętnie byłbym jeszcze powrócił, ale mi nie pozwolono. Może to lepiej, bo przez to byłbym wam sprawił większą jeszcze boleść.

Wierz mi, najdroższa matko, że chociaż żołnierz, nie zapomnę o Bogu w niebie i twoich napomnień. Czy to przy armacie stać będę, czy w obozie — zawsze do niego nabożnie spojrzę i Jego opiece się polecę.

Bywaj zdrowa, kochana, droga matko! Uczuwam twoje macierzyńskie błogosławieństwo w tej chwili, kiedy ci słowa pożegnania piszę.

Pozdrów kochaną bratową i twą małą wnuczkę. Powiedz im, aby czyn mój poczytali za dowód miłości, jaką pałam dla Feliksa.

Ciebie zaś, dobra matko, proszę, bądź spokojną i wesołą. Będę wiernie i szczerze pełnił obowiązki, a po wysłużeniu we wojsku powrócę do ciebie takim, jakim odszedłem.

List ten piszę potajemnie, wśród okrzyków i hałasu napiętych werbowników i rekrutów. Kończy się mój czas ... zatrąbiono do wyruszenia!...

Jeszcze raz żegnam cię synowskimi: bywaj zdrowa, dobra, pocziwa mateczko! Wspominaj w twej modlitwie na kochającego cię szczerze

Józefa.“

Skoro Antosia list przeczytała, zapanowała uroczysta cisza. Wreszcie stara Tomaszowa podniosła ręce i załzawione oczy ku niebu.

— O Boże! — zawołała — ześlij mi ducha opiekuńczego mego zmarłego męża! Niechaj mu towarzyszy na wszystkich jego drogach i przyprowadzi go znowu kiedyś szczęśliwie do naszej chaty. Tylko tak długo, Najmiłosierniejszy Boże, udziel mi życia i wzroku, aż mego syna jeszcze raz ujrzę!

To rzekłszy, podniosła się z siedzenia i udała się do chaty.

— Włóżcie mi ten drogi list — rzekła — pomiędzy struny jego harfy! Harfa niech wisi na ścianie przy moim łóżku. Gdybym nie miała mego Józefa przeżyć, to list, harfę i kapelusz męża dajcie mi do grobu.

Dzielny żołnierz.

Wieść o pięknym postępku Józefa rozeszła się szybko pomiędzy żołnierzami, a wkrótce doszła i do uszu Richtona, kapitana kompanii, w której Józef służył.

Richton zawołał go przed siebie i długo ze serdecznym uśmiechem mu się przypatrywał. Piękna postawa Józefa bardzo mu się podobała. Józef bowiem w ostatnich czasach pięknie się rozwinął. Wyrósł wysoko i wysmukle, przytem muszkuły jego były silnie wykształcone. Biała jego twarz z czerwonymi policzkami uśmiechała się z pod czarnych kędziorów i brwi prosto i otwarcie do każdego, do kogo się zbliżył. Nie chciał on być śmiałkiem i zuchwałcem, lecz tem mniej podłym i chytrym. Był już Józef pięknym młodzieńcem w swym prostym irlandzkim stroju wieśniaczym, a cóż dopiero teraz, kiedy był przybrany w irlandzki ubiór wojskowy.

— Piękny z ciebie żołnierz — rzekł nareszcie kapitan Richton do niego, poklepując go po ramieniu

— bardzo mi się podobasz z swej szlachetnej postawy i prostego wzrostu; ale więcej jeszcze z postępku, którym zjednałeś sobie mój szacunek. Musi to być szczęśliwy ten kraj, który takich synów wychowuje. Jak ty się nazywasz i skąd jesteś?

— Panie — odezwał się rekrut pokornie — nazywam się Józef Mooney. Moje światu nieznane miejsce rodzinne nie ma żadnego właściwie nazwiska. Jestto tylko jedna jedyna chata w małej dolinie, którą sąsiedzi nazywają chatą irlandzką.

— Nie jest mi ona tak nieznaną, jak ty mnie masz! — odparł kapitan. — Nie był to Tomasz Mooney właścicielem tej chaty i twoim ojcem? Nie jest to ten sam, który w zatoce morskiej przy Dublinie życie utracił, wyratowawszy od śmierci jednego z moich najlepszych przyjaciół? Młodzieńcze, rad jestem, że cię poznałem! Sprawuj się dobrze, a ja będę o tobie pamiętał. Także życzę sobie, abyś w potrzebie zasięgnął mej rady.

— Szlachetny panie! — odrzekł Józef — kiedy jesteś tak dobrym, to proszę zaraz o jedną łaskę.

— Słucham! — odrzekł kapitan z przyjaznym uśmiechem.

— Mam — ciągnął dalej Józef, a łza zabłysła mu w oku — mam w domu ubogą, starą matkę. Proszę pokornie pana, wydać rozkaz, aby połowa mego żołdu była regularnie jej przesyłaną. Wolałbym pić wodę morską i spożywać czarny chleb, aniżeli by moja matka miała cierpieć niedostatek.

Kapitan z zadziwieniem spojrział na młodzieńca.

— Tak szlachetne serce — rzekł po chwili — rzadko bije w piersi moich żołnierzy. Od dzisiaj wszystko się stanie, czego będziesz pragnął. Józefie, nie zapomnę o tobie.

Kapitan skinieniem dał znak odejścia.

Józef wywdzięczając się za dobroć szlachetnemu kapitanowi, sprawował się zawsze uczciwie, a pilnu-

jąc tylko swego obowiązku, już po kilku tygodniach wyćwiczył się na zupełnego żołnierza.

Naraz otrzymał kapitan rozkaz wyruszenia z kompanią do Dublina, w celu objęcia straży nad wybrzeżem. Józef zadrżał, skoro tę wiadomość usłyszał, bo miał teraz to miejsce oglądać, gdzie jego ojciec życie utracił.

Dzięki opiece szlachetnego kapitana i własnym zasługom wnet Józef został sierżantem.

— Otóż, mój pocziwy Józe! — rzekł do niego kapitan — teraz będziesz mógł już więcej twej matce posyłać. Będzie się ona cieszyła i z tego pozna, jak dzielnie jej syn i przy wojsku się sprawuje.

Józef dziękował ze łzami radości.

Skoro przybył do Dublina, pierwsze kroki zwrócił ku morzu, aby odszukać pomnik swego ojca, który mu towarzysze pomiędzy nadbrzeżnemi krzewinami postawili. Każdy majątek umiał mu oznaczyć miejsce, gdzie jego ojciec wskoczył w bezdenną przepaść. Kiedy dowiedzieli się, że jest synem zmarłego pocziwca, Tomasza, płakali razem z nim.

Przy zatrudnieniach wojskowych zeszedł młodemu sierżantowi szybko jeden rok. W czasie tym mając często okazję, posyłał wiadomości o swem powodzeniu do domu, a stamtąd odbierał znowu wieści o powodzeniu swoich, szczególnie o starej matce. Uspokajało to zupełnie pocziwego syna i oczekiwał z upragnieniem tej godziny, w której uwolniony będzie ze służby, i z radością będzie mógł powrócić do swej matki.

Tymczasem pewnej nocy zatrąbiono do wyruszenia. Kompania, w której Józef służył, została chwilowo przyłączoną do jednego z pułków irlandzkich, stojących nad brzegiem w pogotowiu do wymarszu. W zatoce morskiej oczekiwały uzbrojone wielkie okręty wojenne.

— Daleka, bardzo daleka czeka nas droga! — słyszał Józef, jak towarzysze jego szeptali jeden do

drugiego: — Wybuchła wojna w Hiszpanii i my walczyć będziemy musieli pod Saragosą.

Tak też było rzeczywiście. Kapitan wezwał do siebie sierżanta i zawiadomił go, że jest wcielonym do irlandzkiego pułku, który jak najprędzej stanąć musi w Hiszpanii.

— Józefie — rzekł do niego kapitan — ty masz podczas tej uciążliwej podróży być moim sługą i towarzyszem. Takim sposobem będę miał blisko boku człowieka, na którego wierność i męstwo spuścić się mogę.

Józef podziękował niemem ucałowaniem ręki i natychmiast zarządził potrzebami kapitana do podróży.

Gdy atoli nadeszła chwila odjazdu, ścisnęło się serce Józefa na myśl, że nawet nie może dać matce wiadomości o swej nagłej dalekiej podróży. Nie rozpaczał jednakże, tylko z poddaniem się woli boskiej polecił całą rodzinę opiece Boga.

Wnet kotwice zawarczały, żagle się wzdęły i niedługo znikły mu z oczu brzegi ojczyste.

Odwiedziny.

Od czasu, jak Józefa w domu nie było, wiodła stara Tomaszowa pełne smutku i boleści życie, a wzrok jej tak osłabł, że bez przewodnika nigdzie wychodzić nie mogła. Feliks zaś starał się wszelkimi siłami błąd swój naprawić. Pracował ochotniej i pilniej, jak przedtem, uprawiał rolę i hodował trzodę. Ażeby matkę swą rozweselić, przynosił jej za każdym razem z miasta coś nowego, ale ona mawiała ze łzami:

— Józefa nie ma! jakżebym mogła się cieszyć?

Pewnego wieczora, gdy razem wszyscy smutnie siedzieli, zanuciła Antosia znany śpiew o pocieszeniu: „Kiedy twe serce ciętki żal gniece.“

Twarz starej matki po śpiewie nagle się inaczej zmieniła. Łzy wprawdzie wylewała obficie, lecz tyle nie gorzkie. Pieśń ta, ponieważ była od Józefa, rozweseliła ją tak, że wzruszona ujęła swą synową w objęcia.

— Antosio — rzekła — dobra z ciebie jest córka. Pójdź, niechaj cię do serca przytulę! Pozwól mi się wypłakać, a będzie mi potem lepiej!... Gdy mnie kiedy będziesz smutną widziała, wtenczas pociesz mnie znowu pieśnią Józefa!

Feliks i Antosia cieszyli się z tego niezmiernie, że znaleźli środek, którym mogli smutek matki rozpędzić. Antosia tedy często to śpiewała jej pieśń Józefa, to opowiadała to, co dawniej Józef opowiadał, a matka cieszyła się i błogo jej było na sercu.

Najweselsze dla niej były dni, gdy nadchodziły wiadomości o powodzeniu Józefa, o jego sprawowaniu się i zadowoleniu przełożonych. Pieniądze, które od czasu do czasu otrzymywała, składała do skrzynki i nie wydawała z nich najmniejszego grosza, zachowując je dla Józefa, kiedy powróci.

Tak przeszedł jeden cały rok. Kiedy następnie żadna wiadomość od Józefa nie nadchodziła, zaniepokoiła się biedna matka na nowo. Trwoga wreszcie ją ogarnęła, gdy kupiec, od którego pieniądze odbierała, jej oświadczył, że na dalszą wypłatę nie otrzymał żadnego przekazu. Dowiadywano się więc pilnie, skąd to milczenie ze strony Józefa, czy żyje czy nie, ale to wszystko na próżno.

Wtedy matka, nie mogąc w niepewności żyć dalej, nakłoniła Feliksa, aby osobiście się udał do Dublina. Feliks z chętnem sercem przystał na to i wybrał się w podróż.

Szczęśliwie i bez najmniejszej przeszkody przyszedł do Dublina. Udał się zaraz ku zatoce morskiej i zgłosił się do oficera straży nadbrzeżnej.

— Przyszedłem — rzekł Feliks — odwiedzić mojego brata, o którym już dawno w domu nic nie mo-

gliśmy się dowiedzieć. Tustąd przysłał nam swą ostatnią wiadomość do domu.

Na to odpowiedziano mu: że Józefa już nie ma i że musiał z irlandzkim pułkiem odpłynąć. W Hiszpanii toczy się krwawa wojna, w której Józef musi brać udział, a jak tam długo pobędzie i czy zdrów wróci, to tylko chyba samemu Bogu wiadomo.

Taką odpowiedź miał Feliks zanieść do domu.

W i n a.

Feliks odszedł zasmucony, wzdychając tedy owedy głęboko. Zamyślony chodził nad brzegiem to w tę, to w ową stronę, nie wiedząc, co ma robić. Tyle sobie naprzód postanowił, że dla wypocznienia dzień jeden zabawi w Dublinie.

— Co też matka powie — mówił sam do siebie — jak jej tę smutną wiadomość przyniosę! Gdybym jej powiedział o wszystkim, co się dowiedziałem, to się na śmierć zamartwi. Będę musiał tym razem przed nią prawdę zamilczeć, udawać wesołego, to mi uwierzy. O Boże! do czego to moja lekkomyślność doprowadziła!

W tak zawitych myślach zwrócił się wreszcie nad brzeg morza, aby odszukać miejsca, gdzie ojciec jego śmierć poniósł chwalebną.

Naraz doleciał go odgłos zwodniczych piszczałek i zwrócił na się całą jego uwagę. Pomimo ponurego usposobienia jego duszy było mu bardzo przyjemnie, że usłyszał ulubioną muzykę. Bez długiego namysłu pospieszył ku stronie, skąd go piszczałki tak mile do siebie zapraszały.

— Dzisiaj — pomyślał — mogę sobie coś pozwolić za tak daleką drogę, którą zrobiłem na próżno. Po doznanym kłopotcie będzie mi roztargnienie pożądanem.

Zgiełk wychodził z niskich chat nad brzegiem, które pomiędzy krzewami tu i owdzie były porozrzu-

cane. Majtkowie obchodzili uroczystość pływacką. Chłopcy składać musieli pierwszą próbę sztuki pływania, a który z nich uzyskał pierwszą nagrodę, ten został wśród okrzyków i odgłosu fujarek do mieszkania swego odprowadzanym.

Feliks właśnie przybył, jak wielkie mnóstwo ludu, po części sami majtkowie, z najlepszym pływakiem do chaty się zbliżali.

Nowość ta ciągnęła coraz bardziej Feliksa ku stołom i ławkom przed niską chałupką, przy których grano, tańczono, śpiewano i hałasowano.

Przystąpiwszy bliżej, przypatrywał się tej zabawie dosyć długi czas. Nagle usłyszał za sobą gruby głos jednego z majtków, który z zuchwałej miny i pysznych przechwałek zdawał się być ojcem młodego zwycięzcy.

— Cudzoziemcze! — krzyknął majtek — cóż tu stoisz w złym humorze i przeszkadzasz naszej wesolej zabawie? Jeżeli się nie chcesz z nami weselić, to się czemprowadź stąd wynoś!

— Któż wam to powiedział — odparł śmiało Feliks — że nie chcę się cieszyć? Czyście zaprosili mnie już do waszej zabawy, ponieważ chcecie na mnie wygadywać?

— Oto masz a pij — odrzekł śmiejąc się majtek, podając mu kieliszek z wódką — siadaj przy moim młodym zwycięzcy. Zostawiłem to miejsce próżne dla jednego z moich dobrych znajomych. Atoli ten stary obłudny kot morski nie chce przyjść ze złości i zmartwienia, że mój syn jego synowi nagrodę przed nosem złapał.

Na to obecni wybuchli tak szatańskim śmiechem, że Feliksa aż mrówie przeszło.

— Gdybym był mściwy — ciągnął dalej stary majtek, wypróżniając pełen kubek wódki — to za wyrażoną mi hańbę pokazałbym mu na morzu, o ile on odemnie słabszym. Lecz żal mi wdowy i sierót, któreby na brzegu jego życia opłakiwały.

Łzy, które majtkowi przy tych słowach zabłyśły w oczach, były wyraźnym dowodem, że go już wódka w ten stan wprowadziła, gdzie zemsta i litość, śmiech i westchnienie zawsze razem się zmieniają.

— Niezgodni jesteście między sobą — odezwał się Feliks, wychyliwszy podany kielich — i zdaje się, że za niemiłe słówko gotów jeden drugiego w morze wrzucić. Zapewne niewielu przy waszem rzemiośle pocziwie się jeden z drugim obchodzi.

Mowa ta straszliwie majtka obraziła. Drżący od gniewu, ze zmarszczonem czołem, zerwał się z ławy, i potoczywszy się, obalił kieliszek z gorzalką.

— Nie waż się tego po raz drugi powiedzieć! — krzyknął — jeżeliś jest Irlandczykiem, co nawet i wymowa twoja i ubiór zdradza. My żeglarze nie jesteśmy zwyczajni, od wścibskiego szczura lądowego dać się za brodę targać! Wy na stałym lądzie nie wycierpicie tyle do późnej starości, jak my jako młodziuchni pacholeta na szerokiem morzu. Jak śmiecie nas ganić i nam przymawiać?

— Ha, stary gaduło! — odparł zuchwale wódką rozpalony Feliks — musisz wiedzieć, że niebezpieczeństwa na lądzie nie są mniejsze, jak na waszych okrętach. I zapewne trudniej jest chodzić za śladem dzikiego zwierza i zbłąkanego bydła szukać w bagnistym sitowiu, aniżeli w gorących nocach letnich w morzu się kąpać. Tego pewnie nie możesz pojąć, bo się na morzu urodziłeś. Zresztą, słowo wam daję, że szczur lądowy, jak nas nazywacie, nie rzadko umie tak dobrze pływać, jak wasz nagrodą obdarzony zwycięzca!

Tu naraz powstał na wszystkich ławach i stołach głośny gwar, podobny do grzmotu w oddali. Feliks zmiarkowawszy, że burza nad jego głową może zahuczeć, chciał rozgniewanych znowu ułagodzić. Siegnął więc po pizczalkę.

— Zagrajmy sobie lepiej jaką wesołą piosnkę, aniżeli się swarzyć. Urządziliście zabawę, aby się we-

selić, a nie dla kłótni i sprzeczki. Pójdź, stary majtku, a wypij ze mną na zdrowie twego syna!

— Co ja mam z tobą się bratać, ty szczecisty jeżu lądowy! — zawołał pijany majtek, i zerwawszy się wytrącił Feliksowi kieliszek z ręki, że się ten stłukł na drobne kawałki. Na znak ten natychmiast powstało tuzin silnych żeglarzy, i otoczywszy Irlandczyka, obsypali go tysiącznemi wyzwiskami.

Inni, których palony trunek jeszcze do najwyższego stopnia nie rozdrażnił, chwycili za swe pischaczki, chcąc muzyką hałas zagłuszyć. Ale napróżno.

— Precz z nim!... na morze!... — krzyczeli rozłoszczeni jeden po drugim — niech przechwalca spróbuje słodkości wodnego niebezpieczeństwa i naszego rzemiosła! Jak jesteśmy żeglarzami!... on ma si z nami przejazd odbyć ku brzegom Anglii!

— Puśćcie mnie, dla Boga! — wołał Feliks, wracając do przytomności; — nie chciałem się z wami kłócić, jak jestem synem starego Tomasza Mooney, który tu w tej zatoce morskiej zginął.

— Kłamiesz, lotrze — zawrzasnęli majtkowie — Tomasz Mooney opowiadał nam zawsze o dwóch uczciwych synach. Lecz ty jesteś napastliwy opój, którego trzeba przez żeglugę morską otrzeźwić, abys nam na przyszłość dał spokój.

Teraz Feliks poznał cały ogrom niebezpieczeństwa, w jakim się znajdował. Zrozpaczony i rozgniewany podniósł swe silne pięści i chciał sobie przez zbitą gromadę drogę utorować.

— Któż to inny — zawołał — przyprowadził mnie nieszczęśliwego do upojenia się, jak tylko wy, podłe psy morskie? Dajcie mi pójść moją drogą, bo jak nie, to się wnet przekonacie, że szczury lądowe mają ostre pazury i zęby!

Majtkowie parsknąwszy śmiechem, związali mu w mgnieniu oka ręce i nogi, zanieśli go na przygotowany okręt kupiecki, mający jutro z pierwszym brzaśkiem porannym wypłynąć na morze.

— Tu — rzekli ze śmiechem do dozórce okrętowego — tu przyprowadzamy ci mocnego parobczaka, który się do jazdy na wybrzeże morskie dał namówić. W radosnem oczekiwaniu przygód morskich tęgo sobie podpił. Pominąwszy jego młodocianą porywczosć, posiada wszystkie przymioty dzielnego żeglarza.

— Brawo! — rzekł dozorca — takiego nam właśnie potrzeba. Wrzucicie go na spód okrętu, a jutro, kiedy się z pijaństwa ocknie, pójdzie do wiosła!

Majtkowie postąpili z radością według jego rozkazu.

Feliks odurzony wszystkim, co zaszło, przeklezał całą noc bez poruszenia się na zbutwiałem posłaniu z sitowia.

Dopiero nad ranem popadł w sen sprowadzony zbyt niemiłym użyciem mocnego trunku. Zbudzony promieniem słońca padającym przez małe okienko komórki, długiego czasu potrzebował do przypomnienia sobie, co z nim wczoraj zaszło. Więc znowu, jak zwykle, powrócił do jego uczucia żal największy, a myśl o opuszczeniu starej matki i swej małżonki w kraju rodzinnym okropnie go dręczyła. Ponieważ ruchów okrętu, który już od świtu przy dobrym wietrze i pełnych żaglach płynął na otwartem morzu, w ciemnej komorze nie mógł dostrzedz, — to myślał z pewnością, że się na stałym lądzie znajduje, gdyż ostre groźby majtków uważał za dłuższą karę jego zachowania się porywczego, i że wnet ktoś nadejdzie i z więzów uwolni, a kilku porządnymi kulakami wolnością udaruje.

Podczas wzdychania do chwili swego uwolnienia miał dosyć czasu, aby nad całym zdarzeniem się lepiej mógł zastanowić. Co wczoraj czynił i mówił, wydawało mu się teraz w strasznych obrazach.

— O Feliksie! — rzekł sam do siebie — jakież to z ciebie wyrodny człowiek stał się naraz! Tak daleko już z tobą musiało przyjść, że tym złym ludziom

ofiarowałeś swą wolność twego ducha i ciała? Czy to jeszcze nadal chcesz twą starą matkę obciążać wyrzutem, że z tobą po macierzyńsku się nie obchodzi, dając Józefowi pierwszeństwo? Nie jest on lepszy od ciebie? Czy to już kiedy przez takie zachowanie się zawinił, jak ty? Nie zasłużyłże on na miłość matki, podczas gdy ty zawsze tylko zasługiwałeś na napomnienia i karę? Feliksie, nie odzywa się głos twego sumienia do ciebie: ty niegodziwie sobie postąpiłeś!?

To i owo, co mu na tem strasznie samotnem miejscu i w jego smutnem położeniu serce wyrzucało, wyjąkał przed siebie.

W końcu żalność i wewnętrzna boleść tak mu ścisnęła serce, że ze łzami w oczach zawołał:

— O Boże! o Boże! dopomóż mi jeszcze raz wydostać się z tych kajdan i z tego więzienia! Może nie zasłużyłem już wcale na ratunek! Jeślim ja nie godzien, to przynajmniej zmiłuj się nad starą, opuszczoną matką, nad biedną wdową i sierotą! Przyrzekam, że po raz ostatni usłuchałem pokusy. Odtąd zawsze będę głosu Twego słuchał... O Panie i Boże! ratuj mnie nieszczęśliwego i zaprowadź i powróć do mej rodzinnej chatki!

Jeszcze nie skończył wołania do Boga o ratunek i pomoc, kiedy naraz otwarły się drzwi do ciemnej jego komory. Obrócił się szybko w radosnem oczekiwaniu, że Bóg tak już prędko jego modłów wysłuchał, ale ku swemu największemu przerażeniu ujrzał, jak trzech brodatych majtków weszło, idąc prosto do niego.

— Dzień dobry, chłopcze! — zawołali rubasznym głosem — otóż zapewne już się wypałeś po wczorajszem zalaniu pałki. Dozórca posyła nas do ciebie i każe pytać, czybyś nie był łaskaw pójść robić wiosłem? Tam na pokładzie jest o wiele piękniej, niż tu na spodzie. Widok przecudny przedstawia się, patrząc na niebo i wodę. Brzeg kraju rodzinnego już

nam dawno z oczu zniknął w mglistej pomroce i dopiero stały ląd zobaczymy na wybrzeżu Anglii.

Wiadomość ta, jakby piorun z jasnego nieba, przeziła jego skołataną duszę, wybuchł głośnym płaczem i począł narzekać.

— Matko! żono! dziecię!... — zdołał tylko wyjęknąć i zakrywszy twarz, runął na podłogę.

Majtkowie cieszyli się czas niejaki nad jego cierpieniami, aż nareszcie zdjęli mu pęta z rąk i nóg, i szturchającami zmusili do powstania i udania się z nimi.

Skoro weszli na pokład, wybiegł im dozorca naprzeciw, pozdrawiając Feliksa złośliwym uśmiechem.

— Chłopcze — rzekł do niego — będziesz miał teraz zaszczyt nazywać się majtkiem, a o uwolnieniu ze służby i rozprawianiu o przykrości na morzu nie możesz prędzej myśleć, jak dopiero za sześć lat. Bądź więc spokojny i znoś cierpliwie to, czego już zmienić nie możesz!

— Pan Bóg mnie ukarał! — wykrzyknął Feliks zrozpaczony — ukarał mnie za to, że tak często zapomniałem napomnień mej pobożnej starej matki i na czule przestrogi lubej małżonki i wiernie kochającego brata mego! Prowadźcie mnie w imię Boże, dokąd chcecie. Nie usłyszycie, abym się choć raz ośmielił przeciw sprawiedliwej karze boskiej szemrać!... Dla mej matki, żony i dziecka Bóg ześle opiekę, jak zesłał karę na niepoprawnego syna!... Tylko o to was proszę, nie naśmiewajcie się z moich łez! Moje łzy i modły mogłyby przebłagać Boga, który mógłby was ukarać za osierocenie tylu niewinnych osób!

Majtkowie, stojący w pobliżu Feliksa, mimowolnie wzdrygli się na te słowa. Nie mogli pojąć, skąd ta zmiana od wczoraj, gdzie go zupełnie innego widzieli!

Odeszli więc od niego i pozostawili go samego. Niektórzy nawet obawiali się w oczy mu spojrzeć, ponieważ trapił ich wewnętrzny niepokój. Nie było-

by też z pewnością nigdy tak daleko przyszło, gdyby przy wczorajszej sprzeczce był ów majtek obecnym, który niegdyś przyniósł wiadomość o śmierci Tomasza Moonego do chaty irlandzkiej. Majtek ów byłby Feliksa niezawodnie poznał i go obronił. Ale właśnie był to ten sam, którego wczorajszego dnia zaproszono do uczty, a on, może najuczciwszy ze wszystkich majtków, nie chciał przybyć na szaloną zabawę i przysłuchiwać się wściekłym wrzaskom i kocie muzyce.

Feliks ujął wiośło milcząco i wylewając łzy ręsisie, trapiiony ciężkim wyrzutem sumienia, popłynął z drugimi ku wybrzeżom angielskim.

Czyn bohaterski.

Pod Saragosą w Hiszpanii rozłożyły się pułki irlandzkie. Już po kilka razy stoczono z nieprzyjaciół mniejsze bitwy, w których dzielny Józef zaszczytnie się odznaczył. Gdzie szabla jego silny opór znalazła, tam błyskał nią najogniściej. Bezbronnym nie czynił żadnej krzywdy. Ze zdobyczy brał zawsze tylko tyle, ile mu do szczupłego utrzymania życia było potrzeba. Lwem był w krwawej bitwie, a jagnięciem pomiędzy szeregami swych towarzyszy w obozie. Ktoby go teraz był widział, jak pięknie wyrósł i zmężniał, nie byłby dowierzał, że to jest jeden i ten sam Józef.

Lubiany ogólnie i szanowany tak od wysokiego jak i niskiego dostał chlubny przydomek: „Żołnierz z chaty irlandzkiej.“

W rok później nadarzyła się Józefowi sposobność odznaczenia się znakomicie, co na całe jego życie wpływ wywarło.

Było to wieczorem. Ogień obozowy buchał, a nad nim skwierczał polny kociołek napełniony mięsem. Żołnierze siedzieli ponuro, gdyż czerwony pło-

mień jakoś krwawo farbował ich lica i zdawało się, że wszyscy jakieś inne postacie przybrali.

Długo głęboka panowała cisza, podczas której żołnierze niemym wzrokiem spoglądali to na siebie, to w płomienie.

Nareszcie kilku przytłumionym głosem zanuciło śpiew:

„Od lubych osób w kraju rozwiedziony,

Błądzi wojownik, tęsknotą trapiiony;

Nie znajdzie spoczynku, ani pokoju,

Aż padnie ranny na polu boju.

Bądź nam miłościw, Boże miłosierny,

Gdy nas po żołniersku trafi cios śmiertelny!

Brzęczą szable, pocisk z armat bije;

Krwawy dym w powietrzu się wije!

A gdy nas rano budzi głos pułkownika,

Wtedy myśl o śmierci serca przenika.

Bądź nam miłościw, Boże miłosierny,

Gdy nas po żołniersku trafi cios śmiertelny!

A wy najdroższe istoty w rodzinnej chacie,

Co w smutku bezsenne noce spędzać;

Módlcie się za nami do Boga wszech rzeczy,

Aby nas raczył mieć zawsze w Szej pieczy!

Bądź im miłościw, prosimy Cię Panie,

Błogosław im w życiu, po śmierci daj zbawienie!

— Czemuś taki smutny, Józefie? — zapytał ktoś, kiedy śpiew skończono.

— Masz w domu starą matkę, kolego, a możesz mnie pytać? — odrzekł Józef z boleścią. — Byłem jej ulubieńcem i nadzieją. Żal o mnie przyczyni się do ukrócenia jej życia. Od czasu, jak w Hiszpanii przebywam, nic o mnie się nie dowiedziała. Nie dziwcie się więc memu zamyśleniu i częstym łzom. Ja tu jestem ciałem, ale duchem hen! daleko w rodzinnej chatce, przy boku mej najukochańszej matki!

Koledzy milcząc, z wielkiem wzruszeniem uścisnęli mu rękę.

— Jedyną pociechą — ciągnął dalej Józef, otarłszy łzy z oczu — jest to, że mam w kraju rodzinnym brata opiekującego się matką, o którym wiem, że on swą powinność synowską wiernie i punktualnie wypełnia, że pocziwa synowa spokojnie i mile jej pomaga w domowem gospodarstwie i że luba wnuczka szczebiotem swym skracą jej długie godziny. Nie mając tej pociechy, nie mógłbym tak spokojnie i mężnie w szeregi nieprzyjacielskie się wciskać. Pokładam także w Bogu mocną nadzieję, że On pozostałych w ojczystym kraju ustrzeże od nieszczęścia i udzieli zdrowia, aż przyjdzie czas, kiedy będę ich znowu mógł oglądać. Ufność ta wzbudza się we mnie, kiedy wstaję ze snu, i kładzie się ze mną, gdy idę na spoczynek. Także ufność tę pozostawiłem kochanej matce w jednej piosence, aby się nią krzepiła i wzmacniała w smutnych godzinach.

— Dobry z ciebie chłopak! — zawołali towarzysze — uczyć się od ciebie możemy, jakim musi być dzielny człowiek, jako chrześcianin, jako syn, jako brat i jako żołnierz. Odtąd niechaj będzie naszym hasłem przed każdym uderzeniem w bębny, które nas do atak wołają: Wszystko z Bogiem i ufnością na Jego pomoc! — Pójdź Józefie, wznieśmy na zdrowie twej matki toast, chociaż tylko świeżą wodą źródlaną!

Józef uśmiechnął się, uradowany dobroduszością swych towarzyszy.

Skoro posiłek nocny był gotowy, zjedli z wielkim apetytem wśród różnych rozmów smaczne mięso do najdrobniejszej odrobiny.

Wtem nagle doleciał ich uszu głuchy szmer i szelest w niedalekiej odległości.

Przestraszeni zerwali się i pochwycili natychmiast za broń.

— Bóg niech uchwata — szepnął Józef — żebyśmy nie byli przez nieprzyjaciela dostrzeżeni i znienacka

obskoczeni. Jeżeliby tak było, to trzymajmy się wszyscy mocno! Lepiej padnijmy pod ich bagnety, aniżeli byśmy się dali zabrać do haniebnej niewoli!

Natężyli uszu, zwracając uwagę w stronę, skąd ich szmer doszedł. Lecz wszystko cicho.

— Odważnie, koledzy! — rzekł Józef — pójdźcie za mną! W ci hości i z dobytą szablą wdrapiemy się na pagórek, a tamślad będziemy mieli wolny widok na całą okolicę. Jeśli rzeczywiście znajdujemy się w niebezpieczeństwie, to tam z góry możemy się najpewniej bronić.

Z Józefem na czele wdrapali się ostrożnie na wierzchołek pagórka. Lecz i stąd dla ciemności nie mogli poznać, czy i jakie grozi im niebezpieczeństwo.

Nagle księżyc wyrżał z poza chmur i oświecił scenę, na której widok krew w żyłach ich zakrzepła. Ujrzeni bowiem u podnóża drugiego pagórka ciągnące zastępy nieprzyjacielskie, które prowadząc w swym środku jakiegoś jeńca, naśmiewali się z niego. Józef poznał zaraz przy blasku księżyca na kapeluszu jeńca irlandzką kokardę. Zadrżały w nim wszystkie nerwy, a krew w żyłach burzyć się poczęła.

— To nasz ziomek! — szepnął Józef do swych towarzyszy — zapewne go pojмали zdradziecko i teraz prowadzą go jako jeńca do swego dowódcy. Na Boga, tego ścierpieć nie możemy, jakieśmy są jego ziomekami! Koledzy, ściśnijcie mocniej broń i śmiało za mną! Musimy pojmanego odbić! Wprawdzie liczbą nieprzyjaciel nas przewyższa, lecz nasza odwaga i męstwo nagrodzi szczupłość sił... nam nie wyrównają. Więc niechaj po raz pierwszy będzie miało znaczenie nasze hasło: „Wszystko z Bogiem i z ufnością na Jego pomoc!“

Spuściwszy się cichaczem ze swymi towarzyszami z pagórka, przebiegł wózem drogę nieprzyjacielowi.

Jak Józef przeczuwał, tak się też rzecz miała. Kapitan z pułku irlandzkiego posłany był do puł-

ków pod Saragosą rozłożonych z ważnemi wiadomościami. Nie znając drogi pobłądził i wpadł niespodzianie na czeredę nieprzyjaciół, którzy go wśród głośnych i radosnych okrzyków zaraz pojмали i przy ciszy nocnej, gdzie im tak szlachetna zdobycz nie mogła być odbitą, chcieli przed swego dowódcę zaprowadzić.

W chwili, kiedy nieprzyjaciół, nieprzygotowany na nagły napad, przeciągał przez ciemny wąwóz, wyskoczył Józef ze swymi towarzyszami z zasadzki i uderzył z strasznym krzykiem, jakby setki najwaleczniejszych żołnierzy w krzach było ukrytych.

Potyczka zacięta trwała długo i uporczywie. Ze nieprzyjaciół Irlandczyków liczbą przewyższał, dlatego ci musieli walczyć z największem wyczerpaniem sił.

— Odważnie, kapitanie z Irlandyi! — wołał Józef na swego ziomka — pomóżcie nam rąbać! Przyślijmy tu po to, aby wam życie i wolność uratować!

A na towarzyszy zaś krzyczał:

— Wszystko z Bogiem i z ufnością na Jego pomoc!

To dodanie otuchy odniosło pożądany skutek. Wkrótce legło kilku z nieprzyjaciół na ziemi trupem, drudzy wśród klątwy i złorzeczeń zwrócili się do ucieczki. Jeden z nich wróciwszy uderzył zajadłe na kapitana, lecz Józef palnął go tak silnie pałaszem w ramię, że co rychlej drapnął za drugimi.

— Pan jesteś wolnym! — odezwał się Józef, przystąpiwszy z ukłonem do kapitana; — a jak mi się zdaje nie bardzo uszkodzony, jak tylko małym draśnięciem od ostatniego ciosu. Proszę o rozkazy, z moimi towarzyszami stoję na usługi.

— Dzielny z ciebie chłopak — rzekł kapitan, klepiąc go po ramieniu; — dumny mogę być z takiego ziomka! Przyjmij uścisk dłoni, jako gorącą podziękę starego żołnierza dla siebie i dla twych walecznych towarzyszy. Nie zapomnę twego czynu bohaterskiego opowiedzieć dowódcy, a szczególnie polecę cię, mło-

dy Irlandczyku, twemu kapitanowi, do którego mnie moje interesa wołają. Dla bezpieczeństwa musisz mi z twoimi towarzyszyć do obozu, a za opuszczenie warty biorę na siebie odpowiedzialność.

Józef czuł w sercu niewymowną radość, że mu się udało kapitana obronić. Wystąpił milcząco naprzód, a wzniósłszy nabożnie oczy ku gwiaździstemu niebu, dziękował Bogu za udzielenie sił, odwagi i przytomności ducha do spełnienia tak ważnego czynu. Poczem ruszyli w pochód.

Skoro przyszedli do obozu, wyjął kapitan z kieszeni ciężką sakiewkę i obdzielił pieniędzmi towarzyszków Józefa, dziękując im jeszcze raz za wyświadczoną usługę, którzy się natychmiast z uszanowaniem oddalili. Józef zaś pozostał.

— Zaprowadź mnie teraz przed twego kapitana — rzekł kapitan irlandzki — abym mu cię osobiście polecił. Jest on moim przyjacielem i nie będzie niczego szczędził, aby twój czyn bohaterski godnie i z chlubą był wynagrodzony.

— Jestto dla mnie wiele zaszczytu, szlachetny panie — odrzekł Józef — z radością zaprowadzę pana do namiotu mego pocziwego kapitana. Jednakże nie będzie potrzebnem polecenie, albowiem zna on mnie bardzo dobrze i cieszę się jego względami.

Tu opowiedział, jak go kapitan wziął ze sobą jako sługę, lecz cenił go jako wiernego towarzysza.

— Lecz owóż jesteśmy przed namiotem kapitana — kończył Józef; — widzę jeszcze światło, dla tego możesz pan zaraz wniknąć.

Wszedłszy do namiotu, ujrzeli kapitana schylonego nad rozłożoną mapą. Długo ani się nie obejrzał na przybyłych, będąc głęboko zatopiony w myślach.

— Panie kapitanie! — odezwał się nareszcie Józef i przystąpił krok bliżej; — chociaż tak późno, przyprowadzam jeszcze tego tu pana, który życzy sobie z panem kapitanem mówić.

Skoro się Richton obrócił i spojrział na obecnego, wydał okrzyk radości i w okamgnieniu padli sobie, jako dwaj starzy, wierni znajomi w objęcia.

— Cóż cię tu sprowadza, mój kochany Lambercie? — zapytał kapitan Richton przybyłego, kiedy usiedli a Józef zatrudnił się zastawianiem na stół posiłku.

— Mam — odrzekł kapitan Lambert — od wyższej władzy wojskowej zlecenie dla waszej komendy, tyczące się nowego werbunku. Ja jestem wykomenderowany objąć jako kapitan twoje miejsce, ponieważ władza wojskowa ze względu na twą długoletnią służbę i podeszły wiek zaszczyca cię spokojniejszym urzędem w głównem biurze. Oto pismo potwierdzające prawdziwość moich słów!

— Przyjmij moje dzięki, stary towarzyszu broni — zawołał Richton — i bądź zapewniony, że ci z całego serca jak najprędzej życzę podobnego miejsca spokoju, abys mógł wypocząć po tylu ciężkich wyprawach, w których nasza pierś żołnierska wystawioną była na kule nieprzyjacielskie. Chociaż tak chętnie powrócę do mej ojczyzny, to jednak nie mogę zataić, że ciężko mi będzie rozłączyć się z moim pocziwym sługą.

Tu zwrócił się do Józefa.

— Józefie — rzekł — dla czegoż stoisz tam tak smutny w kącie! Co ja widzę? ty płaczesz? Biedny chłopcze, żał mi ciebie! Ale pfe, żołnierz nie powinien płakać... Pociesz się, Józefie, dostaniesz tu w kapitanie Lambercie dobrego nowego pana, który ci, jeżeli mu będziesz tak wiernie wypełniał obowiązki, jak mnie wypełniałeś, zupełnie tym samym będzie, co we mnie znalazłeś. Tak będzie on ci jeszcze więcej, bo spoczywa na nim nagroda za czyn bohaterski, który mu życie uratował.

— Tak jest, uratował! — wtrącił prędko do mowy kapitan Lambert. — Ależ przyjacielu, jakże mogłeś się już o tem dowiedzieć, że Józefowej waleczności zawdzięczam życie i wolność?

Przyjaciele przez chwilę spoglądali na siebie, nie rozumiejąc się wzajem.

Nareszcie Lambert opowiedział zajście, jakie go spotkało i że tylko waleczność Józefa zapobiegła dalszemu nieszczęściu.

— Cudowne są drogi Opatrzności! — zawołał radośnie Richton na końcu opowiadania; — jest to po raz drugi, że Mooney ci życie uratował.

— Mooney! — zakrzyknął kapitan Lambert, a radość zajaśniała na jego twarzy; — więc stary Tomasz był ojcem tego młodzieńca?

— Tak jest — zawołał Józef, jakby przemieniony, słysząc wymienione imię swego ojca — ja jestem synem starego Tomasza, który w zatoce morskiej pod Dublinem pewnemu kapitanowi życie uratował!

— I przez to swe własne życie utracił! — dodał Lambert i pospieszył w objęcia wzruszonego Józefa, któremu łzy radości w oczach zabłyśły. — Józefie Mooney, to ja jestem owym kapitanem, któremu twój ojciec życie uratował. I w tej chwili czuję się najszczęśliwszym człowiekiem, że jestem w możności przynajmniej synowi mego bohaterskiego wybawcy okazać moją wdzięczność. Wtenczas, kiedy rozhukane bałwany mną miotaly, kiedy walczyłem z ostatnią siłą żywotną w strasznej trwodze śmiertelnej, wtenczas, kiedy się ku mnie zbliżał z łódką ratunkową, kiedy milcząc modliłem się i z nadzieją w niebo spoglądałem — wtedy to ślubowałem w duszy, że będę miał staranie dla wybawcy mego życia, tak długo, póki żyć będę. Wybawca ku mnie przybył, wyratował szczęśliwie na ląd — lecz, ach, on za to umarł piękną śmiercią poświęcenia się za swego współbrata — i nie mógł spełnienia mego ślubu doznać. Atoli Opatrzność prowadzi mnie ku synowi, na którego ojcowskie bohaterstwo i miłość bliźniego przeszło, mam więc podwójny obowiązek do załatwienia. Józefie, ty wierny obrazie twego zmarłego ojca, pójdź, podaj mi rękę! Przy pożegnaniu się z moim przyja-

cielem a twym dobroczyńcą przysięgam ci, że cię nigdy od boku mego nie puszcę, że ci będę, jak kochającemu synowi, ojcem i przyjacielem!...

Józef patrzył wzrokiem pełnym wdzięczności i radości w oko pocziwego kapitana.

— Duch mego ojca — rzekł wzruszony — będzie pana błogosławił za tę dobroć. Lecz odemnie przyjmijcie silne przyrzeczenie, że chcę wam być wiernym, jak rzadko który sługa był swemu panu.

Dzień odjazdu kapitana Richtona nadszedł. Józef przystąpił ze łzami w oczach do niego i oddając list, prosił, aby zechciał go przesłać strapionej matce.

Kapitan chętnie podjął się zlecenia, obiecując, że sprawę załatwi, jak się należy.

Tak Józef pocieszony, że matka dostanie wiadomość o nim, a smutny ze straty drogiego mu przełożonego, pożegnał kapitana, który nawzajem rozrzewniony puścił się w podróż do ojczyznej ziemi.

Narzekanie.

Było to wieczorem. Księżyc, wschodzący nad pagórką bazaltową, rzucał blady odbłask na wybladłe i stroskane oblicze starej Tomaszowej i Antosi, które smutne siedziały na darniowej kanapce przed chatą.

Čzas, kiedy Feliks przyrzekł powrócić, dawno już minął, a jego nie było widać.

— Józef nie żyje! — narzekała stara matka — a Feliks tylko dla tego nie chce powrócić i przynieść mi wiadomości o śmierci jego, bo głos sumienia mówi mu: twoja lekkomyślność winna jest śmierci brata.

Antosia westchnęła na ten zarzut, lecz nie mówiąc ani słowa, spojrzała smutnie ku niebu.

Stara Tomaszowa wejrzawszy na nią, przełękła się, bo poznała, że miłą synową zmartwiła.

— Antosio — rzekła — obawiam się bardzo o twego Feliksa. Gdyby go tylko na tej uciążliwej po-

dróży jakie nieszczęście nie spotkało. Lękam się! Lękam się bardzo! Święty Boże, gdyby już Feliks nie miał więcej do nas powrócić, cóżbyśmy poczęły? Nie, tak ciężko nas niebo nie będzie doświadczało!

— Matko — odrzekła Antosia — od śmierci Tomasza aż do tej chwili zdaje mi się jednak, że wszystko jest ciężkiem doświadczeniem tam z wysokości. Oby Bóg dobrotliwy udzielił mnie i tobie dosyć sił do wytrzymania tych doświadczeń! Matko, ja cię mam pocieszać — lecz nie mogę — bo sama nieomal upadam pod ciężarem obawy o mego Feliksa. Na pewno mi godzinę i chwilę oznaczył, kiedy powróci. A teraz, kiedy go tu jeszcze nie ma, musiało go spotkać nieszczęście, które go na długi czas, a może na zawsze od nas rozłącza. Matko, słyszysz, jak się jelenie odzywają w lesie sosnowym? Strasznie mi to brzmi, zdaje mi się, jakby ta zwierzyna radośnie nam chciała donieść o śmierci Feliksa!

— O biada nam! — wyjękła z płaczem stara Tomaszowa i przycisła swą wnuczkę do drżącego serca. Potem skinęła na Antosię, aby pilnie uważała.

— Kiedy się dzisiaj ze snu przebudziłam — zaczęła matka — to zadźwięczała jedna z najgrubszych strun ponurym głosem na Józefowej harfie. Wydawało mi się w tej chwili, jakby jego duch unosił się po raz ostatni przez struny, dając przez to znak, że już więcej nie bawi pomiędzy śmiertelnymi. Tak, więc już nie mam żadnego z moich synów! Opuszczona jest stara matka i wierna żona i dziecię kochane! O mój dobry, błogosławiony Tomasz, czemuż mi już obydwóch zabrałeś z sobą, nie zostawiając mi żadnego na smutne dni mego podeszłego i w łzy obfitego wieku?

Tak narzekały wspólnie, zanim udały się na spoczynek, i tak narzekały znowu od rana aż do wieczora.

Antosia pobiegła do wszystkich okolic, gdzie tylko mogła dojść. Przez sąsiednie doliny pospieszyła

do Brai, aby jakiej wiadomości o swym małżonku zasięgnąć. Lecz wszystko napróżno, pozostała bez pociechy i wieści — a Feliks nie powrócił.

Tak znowu kilka miesięcy ubiegło w tem smutnem położeniu, a w końcu rzekła stara Tomaszowa:

— Antosio, musimy się poddać przykremu losowi! Samo tylko spojrzenie w niebo może nas pocieszyć. Jeżeli Józef już nie żyje, jeżeli Feliks w swej podróży zaskoczony został ostatnią trwogą śmiertelną, to niech Bóg udzieli ich śmiertelnym szczątkom wieczny spokój; dusze zaś niechaj raczy przyjąć do swej niebieskiej radości. Będziemy pracowały i za nich się modliły. Przez pracę możemy się od biedy uchronić, która po stracie mych synów zastraszająco się ku nam przybliża. Lecz modlitwa zdoła serca nasze coraz bardziej kształcić i wywyższyc, ażebyśmy kiedyś, a może wkrótce w błogiej nadziei zejść mogły z tego padołu płaczu i straconych tam w niebie znowu znaleźć.

Tak mówiła stara Tomaszowa, a złożywszy ręce, modliła się za Józefa i Feliksa.

Codzień z rana, nim matka i Antosia szły do pracy, a wieczorem, kiedy odpoczywały po całodziennej trudzie, który teraz na ich barkach spoczywał, i kiedy Emilcia, ich pociecha jedyna, między obiema siedziała — wtedy to wznosiły się ich modły wśród łez, boleści i lubych wspomnień ku niebu — modły za Józefa i Feliksa.

Mijały znowu dnie i miesiące — lecz zdawało się, jakby z synami błogosławieństwo i dobrobyt z chaty i doliny był wyszedł.

Trzoda, która pod dozorem Józefa tak licznie się pomnażała, została naraz przez zarazę nawiedzona. Pomimo wszelkich usiłowań i troskliwości upadały biedne zwierzęta pod ręką Antosi, ugodzone zabójczym ciosem strasznej choroby.

— Gdyby Józef tu był — narzekała wtedy żalśnie stara Tomaszowa — to zapewne pasałyby się jeszcze krowy spokojnie i zdrowo na pastwisku!

Antosia uprawiała pole, jak tylko mogła. Kwitła i dojrzewała pszenica na wyżywienie, a len na przyodzievek. Lecz w nocy wypadła z zarośla dzika zwierzyna, zdeptała len i łany pięknego zboża spustoszyła.

Zasmucona Antosia poszła na pole obejrzyć, a ujrawszy zniszczony owoc swej pracy, rzekła ze łzami w oczach:

— Feliksa tu niema; inaczej byłby swą morderczą bronią jelenie i dziki już dawno wypłoszył do ich ciemnych siedzib.

Drzewa przed chatą, które dawniej zawsze ugięły się pod ciężarem owocu, utraciły swą siłę żywotną, a kwiecie więdło, gdyż pod ciśnieniem suchych gałęzi nie mogły się rozwinąć zawiązki owocowe.

Gdy jesień nadeszła, stali smutni, samotni mieszkańcy chaty irlandzkiej pod drzewami, a stara Tomaszowa biadała:

— O, gdyby Józef tu był, to jego skrzętna ręka byłaby drzewa ze suchych gałęzi oczyściła i te błyszczałyby teraz obficie czerwonym i żółtym owocem!

Na wiosnę, kiedy śnieg topniał na pagórkach i w dolinie, a jezioro do niezwyklej wysokości wzbierało, woda przerwała groblę nadbrzeżną i zamieniła łąki na rozległe bagniska.

Z płaczem patrzyły na to nieszczęśliwe niewiasty przez okno, a Antosia westchnęła:

— Feliksa tu niema, inaczej nie byłoby jezioro przestąpiło brzegu. Feliks byłby swą silną ręką groble wzmocnił, żeby jej bałwany nie były zdołały zerwać.

Dawniej, gdy noc nadeszła a mała Emilcia była śpiącą, brał ją ojciec na ramiona, błogosławiąc układał w miękkie łóżeczko, a usiadłszy przy niej starał się lubą córeczkę uspić różnemi opowiadaniem, ażeby spokojniej spała. Teraz babka zabawiała wnuczkę, lecz ta często nie chciała długo zasnąć i płakała za swym ojcem. Antosia stała obok nich, a patrząc

załośnie na sierotę, roniła gorzkie łzy i zawodziła łkania.

— Feliksa tu niema — mawiała — inaczej odpoczywałoby dziecię od wieczora do rana i w słodkim śnie uśmiechałoby się miluchnie!

Tak rosła z każdym dniem i z każdą godziną nędza i narzekanie w chacie irlandzkiej. Co w dawniejszych latach przez pilność synów i rozsądne prowadzenie gospodarstwa zostało zaoszczędzonym, to teraz musiało być wyciągniętem, aby się przed biedą zasłonić. Przytem łzy i boleść tak, wzrok starej Tomaszowej osłabiły, że jej zupełna ślepotą zagrażała. Także i kwitnące policzki Antosi zbladły od zmartwienia i w ciele jej rozwijała się powoli osłabiająca febra.

Przeto nie mogła podolać pracy w polu, nawet często i domowym zatrudnieniom. Przesiadywała więc całemi godzinami przed chatą, ażeby z promieni słonecznych czerpać siłę. Emilcia była jeszcze za słabą i niedoświadczoną, aby choć tylko najdrobniejsze sprawy w gospodarstwie załatwić.

Sąsiedzi, którzy początkowo z politowania nad opuszczonemi pomagali im łąki kosić i pola uprawiać, w końcu stronili jak najdalej od chaty irlandzkiej, pozostawiając biedne niewiasty ich okropnemu losowi.

— Bóg nam nareszcie dopomoże — rzekła raz stara Tomaszowa, kiedy otoczona przez córkę i wnuczkę stała znowu przed chatą. — Mnie się zdaje, że On postanowił nas wkrótce powołać do Tomasza i jego synów. Tam otrzyma stara Tomaszowa na nowo siłę jej wzroku, a odzyska napowrót Antosia różowe policzki. Tam przycisnę mile do serca mego Tomasza, a kiedy moje spojrzenie w jego ognistych oczach spocznie, pocieszać mnie będzie Józef dźwiękami niebieskiej arfy. Tam Feliks ścisnąć będzie czule swą małżonkę, a dziecko na łonie kołysać będzie!

Tu obróciła się ku stronie, gdzie słońce zachodziło i zawołała tęsknym głosem:

— O, ty ostatni przyjemny promieniu tej wielkiej światłości, którą Stwórca swą ziemię oświeca i ożywia, wejrzyj jutro rano, jak się tu znowu wzniesiesz z za góry, przemieniające na umarłych mieszkańców chaty irlandzkiej.

Antosia płacząc, wśród bolesnego uśmiechu podała matce swą rękę. Potem podniosła dziecię do góry, aby je stara Tomaszowa mogła pobłogosławić, jakby już rzeczywiście ta chwila nadeszła, w którejby razem przenieść się miały do lepszej krainy.

— Najlitościwszy Ojczy niebieski — modliła się gorliwie stara Tomaszowa — miej litość nad naszą tęsknotą za wieczną ojczyzną! Zakończ jak najprędzej te ziemskie cierpienia! Ześlij mi Tomaszowego anioła, kochanej córce anioła Feliksowego, a czystej, niewinnej wnuczce zaś anioła Józefowego, aby nam mile zamknęli oczy do ostatniego snu i znowu je otworzyli do wiecznego ocucenia się!

Poprawa.

Pędzony dobrym wiatrem okręt, na którym się znajdował nieszczęśliwy Feliks, dobił do angielskiego nadbrzeża.

Od miasta Bristolu aż do Londynu odbywała się podróż pieszo.

Skoro się tam dostali, został Feliks zaliczony do szeregu majtków, którzy nad ujściem rzeki Tamizy pracowali.

Tutaj spędzał dni smutne i pełne zmartwienia. Rychło rano, kiedy jeszcze wszystko spało w naturze i słońce głęboko spoczywało w cichych falach oceanu, budził Feliksa rubasznym głosem dozorca majtków. Musiał potem cały dzień przy lichej strawie i niedobrym napoju wykonywać najcięższą pracę, tak, że gdy późno w nocy, kiedy mu było wolno położyć się na spoczynek, zaledwie mógł zasnąć ze zbytniego natężenia osłabionych członków.

Jeżeli często z nieuwagi chociaż tylko małą rzecz w swem powołaniu zaniedbał, albo nie mógł punktualnie dziwacznej woli i rozkazu swej zwierzchności zadosyćczynić, wtedy to gruby kij nielitościwego dozórca padał ciężarem centnarowym na jego grzbiet, tak, że z wielkiego bólu zgrzytał zębami i ze łzami w oczach półgębkiem jęczał głucho.

Atoli to pozorne nieszczęście było jego największem szczęściem. W tym ciężkim i pożałowania godnym stanie dojrzewał w duszy jego niezachwiany zamiar do poprawy i poprawa sama.

Często, kiedy trapiiony bezsennością w ciszy północnej stękał, to stawał mu przed oczyma obraz jego przeszłego życia.

— Na wszystko zasłużyłem — mawiał sam do siebie — na wszystko to i na wiele jeszcze innego za moje nieograniczone lekkomyślności. Lecz będę to wszystko z cierpliwością znosił. Na wyzwiska majtków i poniewierania kijem przez dozórce ani słówkiem nie odpowiem. Z chęcią będę znosił przykrości mego losu, gdyby tylko Bóg miłosierny moją pokorną modlitwę wysłuchać raczył — modlitwę o pociechę i zdrowie dla mej kochanej małżonki i dziecka.

Unikał odtąd każdego wesołego towarzystwa i majtków, chociażby jak najpowabniej zapraszał dźwięk multanek i śpiewu. Każdy ton tej muzyki był teraz dla niego wyrzutem sumienia wielkiej lekkomyślności, przez którą popadł w nędzę, i matkę, żonę i dziecko już może wprowadził pod ziemię.

A kiedy majtkowie ganili jego stronienie od zabaw, wtedy nie mógł się od łez wstrzymać.

— O! — mawiał — obyście mnie dawniej tak byli za mą lekkomyślność łajali, zaprawdę, nie byłbym teraz tu w waszem towarzystwie się znajdował!

Majtkowie, śmiejąc się z niego, nie narzucali już mu się wściekle. Feliks zaś w godzinach wieczornych po pracy i w dni świąteczne chodził smutny sam jeden tam i napowrót nad brzegiem Tamizy, aby przez

przypatrywanie się przecudnemu krajobrazowi mógł się w tęsknocie za krajem rodzinnym roztargnąć. A kiedy widział się samotnym nad brzegiem, klękał gdzie ukryty za krzakiem i złożywszy ręce, oczy podnosił ku wypogodzonemu niebu i modlił się gorąco:

— Najukochańszy Boże, ześlij pokrzepiający promyk nadziei do mego skłopotanego serca: iż będę mógł powrócić do chaty irlandzkiej i starą matkę, żonę i dziecko znowu oglądać, których tak unieszczęśliwiłem! O, wtedy zupełnie innym stanę się człowiekiem! Wszystkich sił dokładać będę, aby chatę irlandzką przetworzyć na miejsce spokoju i szczęśliwości, ażeby Józef, skoro powróci z Hiszpanii, znalazł we mnie prawdziwego brata i nasza matka cieszyła się na swe lata stare i spokojnie ze mną się połączyła do wesołego i Bogu przyjemnego życia aż do śmierci!

P o m o c.

W chacie irlandzkiej zdawało się, jakoby zagnieźdżona nędza na zawsze chciała tam pozostać. Stara Tomaszowa, podpierając się na kiju, musiała każde stąpnienie wprzód nim wymierzyć. Antosia zaś leżała w tęsknocie złożona chorobą na łożu boleści.

Trwało tak przez kilka tygodni, a biedni, nieszczęśliwi mieszkańcy tejże odległej, samotnej doliny byli jakby od Boga i ludzi opuszczeni. Mała Emilia zadawała sobie wprawdzie wszelką możliwą staranność, pielęgnując babkę i matkę. Lecz, ach, nie umiające sobie poradzić to dziecko, było jeszcze samo potrzebujące najstaranniejszej opieki macierzyńskiej.

Cały zapas potraw i napoju w chacie już się był wyczerpał. Większa część pieniędzy, które Tomaszowa otrzymała od Józefa, zachowując je w własnej kasie oszczędności, już się razem z innemi na skąpe codzienne utrzymanie rozeszły. Osierocona owa rodzina spoglądała w najsmutniejszą przyszłość.

Było to po ciężkiej, bezsennej i bolesnej północy. Stara Tomaszowa, ciężko wzdychając, siedziała w wielkiem krześle z poręczami, które jeszcze były dziełem pracowitych rąk starego Tomasza i czekała z modlitwą na ustach i z wielkiem upragnieniem, czy choroba lubej córki Antosi wkrótce nie przeminie. Emilcia klęczała przy łożu matki i modliła się.

Tu podniosła się Antosia, rozpalona gorącą febrą, i rzekła:

— Kochane dziecko, spojrzij przez okno, jeżeli jeszcze zorza poranna nie ukazała się nad bazaltowymi pagórkami.

Emilcia usłuchała.

— Dobra mateczko — rzekła córka, zwracając się do łóżka — wierzchołki pagórków przybierają zwolna purpurowy kolor. O, gdyby to prawdą było, co mi ojciec często mawiał, kiedym wcześniej rano przed pomnikiem mego dziadka klęczała, a on mi przepowiadał modlitwę — jakbym się też cieszyła na przybycie słońca!

— I cóż ci mówił ojciec? — zapytała Antosia.

— Purpurowe słońce ranne nad pagórkami — odrzekła Emilcia — ma być znakiem szczęśliwego dnia.

Antosia, uśmiechnąwszy się nad niewinnością córki, spojrzała ku niebu błagalnym wzrokiem, jakby się chciała modlić:

— Dałby to Bóg!

Potem rzekła znowu:

— Kochane dziecko, weź gliniany dzbanek, a idź do źródła, które ojciec twój ze skały bazaltowej wyprowadził, a które znajduje się w krzewinie olszynowej. Śniło mi się w nocy, jakby stamtąd przyszedł ratunek i uzdrowienie. Idź więc, luba Emilcio, a przynieś mi chłodzącego i świeżego napoju.

Tak prosiła Antosia — i opadła znowu na łożo.

Emilcia zaś pospieszyła co tchu ze dzbanuszkem do źródła i naczepała wody.

Wyszedszy z głębokiej skały, ujrzała na niebie pierwsze promienie wschodzącego słońca. Zachwycona tym widokiem, postawiła dzbanek na odłam skały, a ukłękawszy, modliła się:

— Boże litościwy, ześlij mi ten pierwszy promień twego dobrotliwego słońca, który się tu złocisto rozlewa nad ziemią, uzdrowienie w tym napoju, który matce przyniosę! Usłysz dziecinne błagania biednej bez ojca sieroty! Udziel nam nieszczęśliwym w chacie irlandzkiej po tylu cierpieniach i dolegliwościach Twojej boskiej pociechy i Twojej boskiej pomocy!

Po skończonej modlitwie podniosła się prędko. Wziąwszy dzbanek do ręki, chciała szybko pobiedz do chaty, gdyż pamiętała na matkę, usychającą z pragnienia.

Wtem naraz doleciał ją z za wysterczającej skały bazaltowej nad źródłem cudny głos:

„Złoty promień ranny!

Złocisty pokoju doliny!

Swym blaskiem nam przyświecaj!

Tym serce pocieszaj,

Co się z bólu wija,

I siły dodawaj,

Niech znowu odżyją!“

Spiew ten wychodził z ust pięknej, szesnastoletniej panienki, która badawczym wzrokiem, jakby czegoś szukając, ze wzgórza na dół ku dolinie spoglądała. A spostrzegłszy małą Emilcię przy źródle, skinęła na nią radośnie, wołając:

— Ej, co za miluchne dziecię, a już tak wcześnie rano tu między skałami! Powiedz mi, dobre dziewczę, coś ty za jedna?

— Ja jestem — odrzekła Emilcia swym delikatnym głosem — dzieckiem z chaty irlandzkiej.

— A co tu porabiasz? — zapytała znowu panienka.

— Przyszłam — była odpowiedź Emilci — chorej matce po świeżą wodę do tego tu źródła, aby się nią pokrzepiła.

— Chorej matce? — powtórzyła panienska głosem serdecznego współczucia. — O tem mi musisz więcej opowiedzieć. Zaczekaj mała, aż się spuszczę ku tobie.

Berta, takie było imię panienki, pozdrowiła miłym spojrzeniem małą czerpaczkę, a wypytując się o smutnym stosunku rodziny, udała się z nią do chaty irlandzkiej. Emilcia opowiedziała po drodze, co zaszło w tej tak niegdyś szczęśliwej dolinie, z wyrazem dziecięcej boleści, iż łzy w oczach Bercie stanęły.

Tak przyszły do chaty.

Berta, wszedłszy tam, ujrzała starą niewidomą Tomaszową, a Antosię na łożu boleści.

Emilcia, przystąpiwszy ku matce, podała jej dzbanek:

— Oto masz, kochana matko, a posil się, abys wyzdrowiała. Możesz być pocieszoną, bo tu kogoś przyprowadziłam, co się chce nami zająć.

Z temi słowy przywiodła Bertę do łóżka matki.

— Ktoś ty, miła panienko? — zapytała Antosia.

— Opuszczona, jak wy — westchnęła Berta; — rodzice mi już przed dziesięciu laty odumarli. Przyszłam do krewnych, w drugiej dolinie mieszkających, lecz ci mnie nie lubią. Wśród deszczu i burzy muszę byłoby wyganiać na pastwisko. Lecz atoli wczoraj cudzy pies spłoszył mi najpiękniejszą jałówkę; z płaczem pobiegłam to do domu opowiedzieć. Ale mnie znowu wypchnięto za drzwi i nie śmiem wrócić, aż jałówkę znajdę. Szukałam więc całą noc — jednak napróżno. Weszłam tedy na skałę przy źródle i odpoczywałam, aż się rozedniało. Stamtąd słyszałam to nadobne dziewczę się modlące za swą chorą matkę. Ta dziecinna modlitwa tak mię wzruszyła, że aż tu dotąd przyszłam. A ponieważ teraz widzę, iż jesteście opuszczone i sobie pomódz nie możecie, przeto u was pozostanę i jeżeli wam będzie miło, będę was pielęgnowała.

Gdy stara Tomaszowa mowę Berty dosłyszała, spłynęła jej łza dziękczynna z ociemniałego oka. Chciała powstać i ku niej przystąpić. Lecz widząc Emilcia, jak wielką trudność babce sprawia, aby się mogła z krzesła podnieść, zaprowadziła Bertę przed nią i złożyła jej miękką dłoń w strupieszale ręce babki.

— Dobra, nieznajoma dziewczeczko — rzekła Tomaszowa; — Bóg niechaj ci pobłogosławi za szczery współudział w naszej niedoli!

Emilcia tymczasem wyjrzała oknem i spostrzegła w niedalekiej odległości na łące jałówkę, której dotąd Berta napróżno szukała.

— Berto, panienko — zawołała — ot, tam zguba.

— Ach! — wykrzykło uradowane dziewczę — zaraz ją odprowadzę do domu. Lecz przed wieczorem będę znowu przy was i nie opuszczę, aż wyzdrowiecie i będziecie mogli same się o siebie starać.

Mieszkańcy chaty irlandzkiej z upragnieniem oczekiwali wieczora. Berta dotrzymała słowa i przyszła, z koszykiem na ręku, w którym przyniosła rozmaitych pokrzepiających rzeczy dla Tomaszowej i chorej Antosi za jej zaoszczędzone pieniądze nakupionych.

— Tak to Bóg sprawdził — odezwała się chora Antosja — co we śnie widziałam, iż od źródła miało przyjść moje uzdrowienie. Modlitwa mej Emilci wybłagała siłę niebieską w pokrzepiającej wodzie i wstąpiła w serce szlachetnej, za której opieką życie w chatce irlandzkiej ma się na nowo rozpocząć.

— Pójdźcie — rzekła stara Tomaszowa — ukłnijmy przy łożu chorej i Bogu podziękujmy!

Po skończonej modlitwie Berta rozdała przyniesione podarki i prędzej niewiast nie opuściła, dopóki anioł snu skrzydły swemi nie otoczył tak chorą, jak i babkę z Emilcią.

Pod tak troskliwą opieką litościwej dziewczicy powracało coraz bardziej zdrowie Antosi. Także i stara Tomaszowa była weselszą, widząc córkę przycho-

dzącą do zdrowia i najwięcej zagrażającą biedę z chaty znikającą.

Szybko mijały dni i tygodnie, aż pewnego wieczora wróciła Berta nadzwyczaj ucieszoną z miasta. Babka, matka i córka obstępowały ją wokoło i badały, co by było powodem takiej wesołości.

— Słuchajcie — rzekła z uśmiechem, wyjmując list z koszyka — dzisiaj dał mi ten papier pewien kupiec z Brai i mówił, że w nim znajduje się bardzo wiele pociechy i pomocy dla biednych mieszkańców chaty irlandzkiej. Także i rulon złota wsunął mi do ręki.

— Matko! — zawołała Antosia, poznawszy rękopis na adresie, jako dawno jej znajomego przyjaciela.

— Matko, ten list pochodzi od Józefa!

— Od mego Józefa? — powtórzyła stara Tomaszowa, a gorące łzy radości wytrysły jej z oczu. — Bóg niechaj będzie nieskończenie wysławiony, który dotąd mi mojego Józefa przy życiu utrzymał. Czytaj, kochana córko, czytaj, co mi luby mój syn pisze z oddali.

Antosia nie mogła zaraz listu otworzyć, bo jej samej ręce drżały; wreszcie zaczęła czytać:

„Najdroższa matko! Twój Józef jest przy żołnierzach w pułku irlandzkim, pod Saragosą w Hiszpanii. Ponieważ mój szlachetny dobroczyńca, kapitan Richton, wyjeżdża do naszej ojczyzny, więc przesyła ten list z Londynu do kupca w Brai, od którego zarazem nowy przekaz pieniężny na posilenie twych starych lat otrzymasz.

Kochana matko, od tego czasu wylałem za was bardzo wiele łez. Myśl moją w dzień i noc zwracam ku tobie, ku mojemu rodzeństwu, ku chacie irlandzkiej.

Jedyna mi pozostała pociecha — i pozostanie mi nawet wtedy, gdy legnę na polu bitwy lub będę ciężko ranny — pociecha, że mam brata w kraju rodzinnym, że brat Feliks . . .“

Tu Antosia zatrzymała głos; twarz jej się roz-czerwieniła; łzy stłumiły jej słowa — nie mogła dalej czytać. Mała Emilcia przytuliła się do matki. Tak-że stara Tomaszowa i Berta płakały.

Niedługo Antosia zaczęła dalej czytać:

„... że brat Feliks dołoży wszystkich sił, aby osłodzić matce stare dni i starać się będzie o utrzymanie żony i dziecka, ażebym, jeśli kiedyś wrócę, mógł go po bratersku uścisnąć i powiedzieć: Feliksie, teraz czuję się szczęśliwym, żem jako brat poniósł za ciebie tak wielką ofiarę.

Przyjmij moje pozdrowienie, kochana matko, i podziel się niem z Feliksem, bratową i wnuczką. Ty zaś, dobra matko, przyslij mi twoje błogosławieństwo do obczyzny.
Józef.“

List ten rozradował z jednej strony rodzinę, lecz z drugiej wznowił żal i boleść nad zniknięciem Feliksa.

— Oddajmy — rzekła nareszcie stara Tomaszowa, chcąc córkę i wnuczkę uspokoić; — oddajmy z ufnością i nadzieją obydwóch w ręce Opatrzności. Czyśmy to także już o życiu Józefa nie wątpili? Jako Józef, może i Feliks być jeszcze przy życiu. Bóg niechaj ich strzeże — i przyprowadzi szczęśliwie do naszej chaty irlandzkiej.

Odtąd jaśniały codzien milej i przyjemniej promienie szczęścia, wesołości i nadziei w gronie rodzinem.

Antosia już na dobre wyzdrowiała i mogła załatwiać sprawy w domu i poza domem, dla tego rzekła Berta:

— Otóż znowu powrócę do moich krewnych. Choć mnie nie kochają, to jednak mnie codziennie potrzebują do pracy. Wy zaś już nie potrzebujecie mojej opieki...

Antosia dziękowała jej serdecznie za uczynioną usługę i prosiła, aby jak najczęściej odwiedzała ich

samotną dolinę. Mała Emilcia zalała się gorzkiemi łzami, kiedy Berta pocałunkiem się z nią rozstawała.

Stara Tomaszowa odezwała się do niej:

— Berto, jak z powrotem Józefa znowu wróci szczęście do chaty irlandzkiej, to będę o tobie pamiętała. A jak Bóg wysłucha moją modlitwę, którą codziennie za ciebie do niego zasyłam, to ci się kiedyś będzie bardzo dobrze na ziemi powodziło.

Pożegnanie.

Podczas kiedy się to wszystko w chacie irlandzkiej działo, walczył Józef w Hiszpanii przy boku kapłana Lamberta siłą męznego młodziana.

Lambert nadzwyczaj go polubił, nie tylko z tej przyczyny, że jemu i jego zmarłemu ojcu zawdzięczał życie i wolność, lecz szczególnie dla tego, że jego zalety pod każdym względem uznawał.

Było to pewnego poranku, kiedy jeszcze słońce nie wyrzało z za lasu, wyruszali z obozu, aby się spotkać z nieprzyjacielem.

Wkrótce zwiastował straszny grzmot armat, wijące się kłęby dymu, brzmienie muzyki wojennej i szczęk szabli i bagnetów, że rozpoczął się bój okropny. Kilka godzin trwał huk ten z jednaką gwałtownością. Słońce spojrzało już swym blaskiem smutnie na krwawe szeregi na pobojuwisku.

Stało się, że kapitan Lambert z całą swoją kompanią został przez silny oddział nieprzyjacielskiej jazdy od szeregu wojska odcięty. Tylko przez mocną wolę i niewzruszone męstwo było możebnem, przedrzeć się przez tłum jeźdźców, aby sobie drogę do ratunku utorować.

— Dalej, towarzysze! — zawołał Józef na odważnych — chodzi tu w tej chwili o pocziwego naszego kapitana i o nasz ratunek!

Zaraz wielu przecisło się do niego, biorąc kapitana w pośród siebie.

— Tak może nam się udać — zawołał znowu Józef i rzucił się pierwszy pomiędzy konnicę z okrzykiem: — Wszystko z Bogiem i z ufnością na Jego pomoc!

Hufiec jeźdźców został po mistrzowsku przecięty. Kapitan szczęśliwie ze swymi ludźmi dostał się do swoich — lecz dzielny Józef leżał ciężko ranny bez znaku życia w głębokim rowie, przez który jeźdźcy galopem na swych rumakach pędzili. Kula nieprzyjacielska ugodziła w jego prawe ramię. Krew trysła strumieniem z głębokiej rany. Błady i z głową ku słabo bijącemu sercu skłonioną — leżał Józef, jęcząc bezprzytomnie i czekał ostatniej godziny życia.

Z pod na pół zasuniętych powiek wyglądało słabe bielmo; sine wargi skrzywiły się mimowolnie do strasznego uśmiechu, a przez skrzywione palce drgała młodych nerw ostatnia siła.

W końcu, kiedy gromada jeźdźców przez rów przesadziła a zgłęb wojenny głucho się tylko z dala słyszeć dawał, odzyskał na kilka chwil przytomność. Wrzask kruka siedzącego w pobliżu na kamieniu bardzo go przestraszył, bo zdawało mu się, jakby słyszał pieśń pogrzebową dla siebie. Podniósł się więc tak spiesźnie, ile zdołał, a obejrzawszy się dokoła, nie mógł sobie zrazu całego zajścia wytłómaczyć, lecz po chwili poznał opłakany stan, w jakim się znajdował.

— Matko! — westchnął, upadając znowu bezwładnie na ziemię; — rodzinę... irlandzkiej chaty... bywaj zdrowa... Bóg... będzie mi łaskawy!...

Kapitan Lambert, straciwszy za krzakiem wiernego Józefa, musiał w obawie o jego życie pomiędzy walczącymi jeszcze całą godzinę przepędzić. Nareszcie otrzymał rozkaz do powrotu, z czego się wielce ucieszył. Tej to chwili odpoczynku użył kapitan, aby odzyskać Józefa.

Wkrótce znalazł go we krwi leżącego. Zasmucony schylił się ku niemu, a głaszcząc lekko ręką zimne czoło dzielnego młodzieńca, szepnął mu do ucha:

— Józefie, wierność jest twoją śmiercią! Uratowałeś mnie po raz drugi — lecz siebie na mój ratunek poświęciłeś. Mój Józefie, czy już naprawdę nie żyjesz? Czy już niema żadnej iskierki życia w tobie, któraby się nie dała na płomień rozniecić? Józefie, wzbudź się jeszcze raz, abys ujrział łzy dziękczynne z łóc moich płynące i mógł je zabrać do lepszej krainy! Wybawco przebudź się!

Śmiertelnie osłabiony Józef otworzył oczy i dźwignął głowę, jak tylko mógł. A ponieważ poznał przed sobą stojącego kapitana, więc ruszył wargami, jakby chciał mówić — lecz te odmówiły mu posłuszeństwa. Podawszy mu lewą rękę, wskazał nią na swe prawe ramię. Kapitan Lambert chciał go się jeszcze coś zapytać. Atoli powieki zasunęły się na oczy wycieńczonego, a głowa jego opadła znowu na ziemię, podczas gdy spływający zimny pot, który mu wycisnęło ostatnie wysilenie, mieszał się ze krwią.

Lambert zbadał prawe ramię, a odkrywwszy ranę, kazał w tej chwili zawołać lekarza. Tymczasem chustką obwiązał zranione miejsce, aby upływ krwi zatrzymać.

Przybyły lekarz położył opatrzenie chirurgiczne, tak dobrze jak tylko mógł w krótkim czasie to uczynić. Lambert zapytał go, czy jeszcze młodzieniec zostanie uratowany. Ten wzruszył ramionami i potrząsł głową na znak wątpliwości.

— Ranny — rozkazał kapitan — nie ma być do polnego szpitala zanieiony. Niech go pan każe odnieść do mego namiotu. Staraj się o jak najlepszą opiekę. Będiesz hojnie wynagrodzony, jeżeli się panu uda zdrowie mu przywrócić.

Ze łzami w oczach pożegnał się kapitan z wybawcą swego życia, który zanieiony został na noszach do namiotu.

— Józefie — westchnął za nim — tam na drugim świecie znowu się ujrzemy.

Smutny wracał kapitan do swego pułku.

Gorące promienie słońca spadały na głowy walczących. Nareszcie, ponieważ dzień się miał ku schyłkowi, zaniechano wątpliwej walki. Żołnierze mogli więc odpocząć i się na nowo wzmocnić na dzień następny.

Kapitan Lambert wszedł do swego namiotu. Smutny, zbliżył się cichuteńko ku posłaniu rannego Józefa. Nie myślał nic więcej, jak tylko zastać trupa wiernego młodziana. Słabe światło migotało na stoliku w kącie namiotu, a przy łóżku siedział lekarz, przygotowując jakiś napój choremu.

— Żyje jeszcze? — zapytał Lambert lekarza.

Tenże kiwnął głową i przyniósł świecę z kąta. Obaj zbliżyli się teraz ku łóżku. Blask światła padał na usta uśmiechającego się Józefa.

— Uplyw krwi z ramienia zastanowiłem — rzekł lekarz — zdaje się więc, że niebezpieczeństwo z każdą godziną się zmniejsza.

Kapitan w milczeniu spojrzał ku niebu, dziękując Bogu i łzy radosne pociekły na łóżo Józefa.

— Jak się miewasz, mój synu? — zapytał go potem głosem pełnym troskliwego uczucia i litości — jak ci się powodzi, Józefie?

— Dobrze, panie kapitanie! — odrzekł Józef wolno i cichym głosem — mam nadzieję, że Bóg mi pozwoli wrócić znowu do zdrowia!

— O, gdyby tak było! — rzekł kapitan z wyrazem najgłębszej radości — a gdyby śmierć życie moje za twoje wymagała, jak chętnie chciałbym pierś moją na pierwszą nieprzyjacielską kulę armatnią wystawić!

Józef przycisnął rękę kapitana do swych ust, aby ją ucałować. Lecz to wyteżenie tak go osłabiło, że ciężko oddychając, opuścił głowę na poduszkę, a po twarzy rozlała się trupia bladość.

— Panie kapitanie — przypomniał lekarz — nie zapominajmy, że jeszcze życie rannego jest w niebezpieczeństwie. Potrzebuje on jak największego spoko-

ju. Długa obecność pana wzruszy za bardzo jego umysł. Także i każdego poruszenia ciała trzeba o ile możności unikać.

Kapitan życząc Józefowi dobrej nocy i rychłego ozdrowienia, oddalił się do wewnętrznej części namiotu.

Stan Józefa polepszał się z dniem każdym. Pod troskliwą opieką rozumnego lekarza zaczęła się rana widocznie goić. Siłę żywotną, którą postradał przez upływ krwi, odzyskiwał powoli przez udzielane mu lekarstwa i wzmacniające potrawy. Tylko ramię okaleczone zostało słabsze, a żyły jego poprzerastały jedna na drugiej, tak, że Józef nie mógł już tyle muskułami wolno władać jak przedtem.

Lambert, który z początku za radą lekarza, odwiedzał rzadko Józefa, podwoił odtąd swe odwiedziny, kiedy już niebezpieczeństwo minęło i całemi godzinami bawił przy nim. Radość z powodu wyzdrowienia tego młodzieńca nie byłaby większą, chociażby i sam własny ojciec jego tam był. A kiedy Józef po upływie kilku tygodni po raz pierwszy mógł wyjść przed namiot, aby się przez promienie słoneczne orzeźwić, urządził tak Lambert, że cały jego pułk, towarzysze Józefa na przodzie, przechodzili około niego i piosenki wojenne nucili, okazując przez to swą radość z powodu jego ozdrowienia.

Józef unikał towarzyskiego życia swych wiernych towarzyszy, jak przedtem. Wyszukiwał najsamotniejsze drogi i najskrytsze miejsca odpoczynku pod olszynami przy strumyku, który płynął w pobliżu namiotu kapitana. Do późnej godziny po północy słyszał go nieraz Lambert wzdychającego.

Pewnego wieczora, gdy jak zwykle siedział przed namiotem, zbliżył się do niego niespostrzeżenie kapitan.

— Józefie — odezwał się do niego, kładąc mu swą rękę na ramieniu — Józefie, czemuż tu tak smutny sam siedzisz i nie cieszysz się w towarzystwie twych wiernych towarzyszy, których tak bardzo dawniej lu-

biłeś? Już cię oddawna śledziłem. Od dnia, jak cię w krwi leżącego znalazłem, wielka zmiana w tobie zaszła. Ty masz coś na sercu, Józefie, a nie chcesz mi się przyznać. Martwi mnie bardzo, że twe uczucie zamykasz przedemną, chociaż zawsze tak dobrze o tobie myślałem. Zaprawdę, powiadam, nie zasłużyłem na tę małomówność.

— Panie kapitanie — odrzekł Józef ze smutnem spojrzeniem — byłbym już dawno zeznał, co mnie we wnętrzu gniecie, gdybym się nie był obawiał, że przez moje zeznanie pana zasmucę i wiedząc, że pan mimo najlepszych chęci pomódz mi nie może. Rana mojego ciała jest zagojona, lecz nie rana w mem sercu. Moim obowiązkiem jest znosić z siłą męską cierpienia tak długo, aż mię do zimnego złożą grobu, przy którym już byłem tak blisko.

Tu zatrzymał głos i otarł łzę z bladego policzka. Kapitan zaś schyliwszy się ku niemu, spoglądał mu z największą czułością w oko.

— Józefie — rzekł — wymień mi tę ranę twego serca.

Józef oburącz chwycił za prawicę swego kapitana i odrzekł:

— Tęskno mi jest za chatą irlandzką, tęskno za matką i rodzeństwem. Cóżby mnie tu mogło, oprócz uśmiechu mego drogiego kapitana, jeszcze rozweselić? Prawe ramię moje jest sparaliżowane. Zamiast, jak niegdyś, w szeregu mych towarzyszy, wiernie mój obowiązek wypełniać, muszę beczynny tylko chyba się przypatrywać. Na wiele się już tu przydać nie mogę. Czuję, jak bardzo mi sił w ramieniu brakuje, które się już nie wróci. Tak, obawiać się nawet muszę, abym może wkrótce nie był ciężarem dla mych towarzyszy. Tu się mój zawód skończył. W domu zaś opłakuje mnie stara niewidoma matka; a jej starszy syn z żoną i dzieckiem opłakuje młodszego brata. Dzień i noc bawią myśli moje w kraju rodzinnym. W duchu siedzę nad brzegiem jeziora, lub spo-

czywam z grą szkockiej harfy na pagórku. W nocy, jak się ułożę na spoczynek, to we śnie zdaje mi się, jakbym niewidomą matkę prowadził do pomnika zmarłego ojca, lub bawię się przed chatą z nadobnem dzieckiem brata. Rano, kiedy klęcząc żańoszę modły do Boga, koniec mej modlitwy brzmi tak: Pannie, pozwól mi jak najprędzej wrócić do ojczyzny! Zaprowadź mnie do drogich mi osób!

Tu Józef zamilkł. Kapitan spojrzawszy z żalością mile na niego, uściśnął rękę jego i odszedł, nie mówiąc ani słowa. Józef zaś myślał, że przez szczere wyznanie ubliżył swemu panu i patrzył smutnie za nim.

Kilka tygodni znowu upłynęło. Tak tedy pewnego poranku zawołał kapitan Józefa do siebie. Wszedłszy oczekiwał z uniżeniem rozkazów swego pana. Lecz kapitan postąpił mu naprzeciw.

— Józefie — rzekł — twoja tęsknota do kraju rodzinnego głęboko moje serce wzruszyła. Nie mam spokoju od chwili twego wyznania i postanowiłem wszystko czynić, co jest w mej mocy, aby twemu życzeniu zadosyć uczynić. Chociaż smutno mi bardzo odemnie cię puszczać, lecz tej ofiary wymaga powinność, z którą jestem przywiązany do ciebie i twego ojca. Józefie, przyjmij ten papier, zawiera on chlubne pożegnanie, które ci komendantura irlandzkiego pułku wręczyć kazała. Jesteś więc odtąd wolny i możesz spokojnie do twej ojczyzny powrócić.

— Jest to możebnem? — zawołał Józef pełen uniesienia i w szczerej radości upadł kapitanowi do nóg, kolana jego obejmując. — Matko, rodzeństwo, mogę was znowu oglądać! O dzięki ci, nieskończone dzięki, szlachetny mężu, za staranie, którem wyjednałeś mi tę łaskę u naczelnika!

— Józefie — ciągnął dalej kapitan, a podnosząc go ku sobie, przycisnął do piersi — Józefie, nie tylko o twe uwolnienie, lecz także i o dalsze utrzymanie twoje się starałem. Mój przyjaciel Richton w Lon-

dynie, któremu doniosłem piśmiennie o twem życzeniu, doprowadził u wyższej władzy wojskowej do tego, że za twą wierną służbę i za ciężkie rany, które na polu bitwy odniosłeś, pobierać będziesz roczną pensją. Oto właśnie odebrałem list od niego, w którym ci ze serca szczęścia życzy. Serdecznie cię pozdrawia i już teraz się cieszy na twoje przybycie do Londynu. Mnie zaś, Józefie, jest wewnątrz niewymownie błogo, że ci mogłem tę przysługę wyświadczyć. Nie zwlekaj więc ani chwili dłużej i wybierz się w Imię Boskie na drogę do kochanej ojczyzny.

Józef nie posiadał się z radości, a towarzysze jego mówili jeden drugiemu:

— Józef jest naraz tak wesołym, a nawet weselszym, aniżeli był przed chorobą. Cóż się to z nim stało?

Wieczorem wiedzieli już wszyscy o przyczynie radości Józefa.

— Otóż — rzekli — ze serca życzymy mu tej radości! Lecz nas ona bardzo zasmuca.

Na drugi dzień wcześniej rano, jeszcze przed wschodem słońca, stanął Józef przygotowany do podróży przed kapitanem.

Lambert oddał mu list i rzekł:

— Zabierz to pismo ze sobą, a jak przybędziesz do Londynu, to najpierw odzyskaj mego brata, kupca Lamberta. Poleciałem w nim ciebie jego przyjaźni i miłości, jak mego własnego syna. Z radością przyjmie cię do swego domu i tak długo u siebie zatrzyma, aż który z jego kupieckich okrętów nie odpłynie do Irlandyi. A więc, mój luby Józefie, bywaj zdrów! Dziękuję ci jeszcze raz za twą wierną służbę, którą spełniałeś! Bóg ci za to wynagrodzi!

Józef zalany łzami nie mógł ani słowa wymówić.

— Nie zasmucaj mnie — ciągnął kapitan dalej, wyprowadzając go z namiotu. — Ja zamyślam wkrótce przybyć za tobą do naszej ojczyzny! A jeżeli mnie kula nieprzyjacielska nie roztrzaska i nieprzy-

jacielski bagnet serca nie przebije, to mam nadzieję, jeszcze raz cię na ziemi oglądać.

Tak mówiąc szedł kapitan jeszcze spory kawał drogi z Józefem, a tu i tam wybiegali towarzysze z namiotów i odprowadzali go.

Nareszcie kapitan stanął.

— Bywaj zdrow, Józefie! — rzekł, a uściskawszy mu po raz ostatni rękę, spieszenie się oddalił, aby nie pokazać łez, które mu się do oczu ciskały.

Tak jeden po drugim go opuszczali, — a kiedy przeszedł namioty już nikogo przy nim nie było i ujrzał się sam na drodze prowadzącej przez Nawarę i Biskaję nad brzeg morski, skąd chciał wyjechać do Anglii.

Kupiec.

Po upływie kilku tygodni wylądował Józef na angielskiem wybrzeżu.

W gorącą południową godzinę stał na jednej z większych ulic Londynu. Od samego rana dopytywał się już o dom handlowy Lamberta, lecz jak to zwykle bywa po wielkich miastach, nie miał szczęścia na zapytanie osiągnąć zupełnej wiadomości. Zniechęcony spoglądał na wysokie gmachy, jakby chciał gdzie na oprawnej w złoto blasze wyczytać imię kupca. A kiedy nawet i to było bezskuteczne, postanowił obok jednego z domów narożnych skrócić w inną ulicę.

Jakiś mężczyzna, który właśnie stał przy drzwiach narożnego domu, przyglądał mu się już przez kilka minut. Mężczyzna ten był średniego wzrostu, przytem dość otyły. Z jego okrągłej twarzy widać było uprzejmość, zapraszającą szczególnie obcego do siebie.

Zawołał na Józefa:

— Kogóż to szukasz? albo do kogóż chcesz iść, młody przyjacielu?

Na głos ten uradowany Józef zbliżył się i odrzekł:

— Szukam domu kupca Lamberta, któremu oddać mam list z Hiszpanii. Czybyś pan nie chciał być tak

łaskaw pokazać mi drogę, jeżeli panu na tej przystudzie nic nie zależy, byłbym bardzo za to wdzięcznym.

— Zaprawdę — rzekł mężczyzna — trafiłeś dobrze z twą prośbą. Bo z żadnych ust nie otrzymałbys dokładniejszej wiadomości, jak z moich. Wiedz bowiem, że dom, na którego stoję progu, jest własnością Lamberta, a — ja sam jestem kupiec, którego szukasz.

Policzki Józefa zarumieniły się na tę niespodziankę. Przez rozmaite grzeczne ukłony, które atoli w wielkiem jego zamięszaniu w całkiem niewłaściwy sposób się udały, starał swą nieśmiałość ukryć. Kupiec bawiąc się przez kilka minut z uśmiechem pełnym zadowolenia tą dziwną miną młodzieńca, rzekł w końcu:

— Pójdź ze mną młodzieńcze! W nagrodę za ambaras, którego cię nabawiłem, będziesz dziś jadł przy moim stole.

Wszedł więc z Józefem do domu na pierwsze piętro do swego mieszkania. Tutaj siedziała stara kobieta pod oknem w starszem jeszcze krześle z poręczami. Była to ciotka kupca, zarządzająca jego sprawami domowemi, gdyż się dotąd nie ożenił, ani też nie chciał z szacunku ku swej gospodyni. Będąc teraz już w podeszłym wieku, chciał w stanie bezżennym pozostać aż do śmierci.

Józef podał mu list. Kupiec na adresie poznać już musiał rękopis brata swego, bo skoro go miał w ręku, zajaśniała radość braterska na jego twarzy.

— Usiądź, miły przyjacielu młody — rzekł do Józefa z uprzejmą grzecznością. A do starej ciotki odezwał się: — Proszę gościowi kazać przynieść butelkę najlepszego wina. Niech się pokrzepi i będzie wesół; uczczone go gościnnie, bo przyniósł mi wiadomość od kochanego brata mego w Hiszpanii.

Potem otworzywszy list zaczął czytać:

„Kochany bracie!

Tylko tyle potrzebuje ci pisać, że oddawca tego listu jest synem męża, który w zatoce morskiej przy Dublinie życie mi uratował — i ty go ze zwykłą twą gościnnością przyjmij do swego domu, a będziesz go tak długo miał u siebie, aż mu się nadarzy sposobność przejazdu na irlandzkie wybrzeże, do którego z niewymowną tęsknotą wzdycha. Lecz jeszcze więcej będziesz dokładał wszystkich starań, aby mu pobyt w twym domu jak najbardziej uprzyjemnić, nareszcie o to się postaraj, aby napewno dostał się do swego kraju rodzinnego — jeżeli ci powiem, że on sam, ten młody poczciwy mąż, dwa razy mi życie ocalił.

Nie uspokoję się wpraw, aż od ciebie otrzymam wiadomość, że Józef Mooney szczęśliwie wrócił do swego kraju.

Co do mnie, jestem, Bogu dzięki, zdrow! Lecz czuję, że po odejściu Józefa duszę moją owładnie tęsknota. Pozdrów mi przyjaciela Richtona i powiedz mu, że cieszę się na chwilę, kiedy znów razem się ujrzymy.

Więc bywaj zdrow, kochany bracie, i jeszcze raz cię proszę, uważaj sprawę mego Józefa, jakby moją własną.“

Kupiec przeczytawszy list, położył go na stronę i patrzył długo milcząc na stojącego przed sobą młodzieńca. Wargi jego ruszały się, jakby słowa podziękowania i radości chciały wyrzec — lecz nie mógł, będąc aż do łez wzruszonym.

Nareszcie uchwyciwszy rękę jego, rzekł:

— Przyjmij, szlachetny młodzieńcze, serdeczne podziękowanie za wielkie usługi wyświadczone mojemu bratu. A teraz uroczyście proszę tak długo u mnie pozostać, jak ci się będzie podobało. Będę się starał o ile siły moje starczą, aby ci pobyt w Londynie uprzyjemnić.

Józef podziękował za miłe zaproszenie.

— Szlachetny panie — rzekł — największą usługę mi sprawisz tem, jeżeli urządzisz, abym jak najprędzej mógł do ojczyzny powrócić. Bo trudno mi dłużej znosić tęsknotę za drogiemi w kraju rodzinnym osobami. Zdaje mi się, że długa zwłoka przyczyniłaby się do tego, że tu w obczyźnie mógłbym zachorować.

— Otóż — odrzekł kupiec — nie chcę być ci w oglądaniu twych osób na przeszkodzie, aczkolwiek bardzo byłoby mnie cieszyło, gdybym dłuższy czas cię miał u siebie. Atoli choć zwawo się zajmują ładunkiem towaru na okręt kupiecki, który ma wyjechać na irlandzkie wybrzeże, to jednakże w ciągu dwóch tygodni nie będzie praca ta ukończona. Tak długo więc musisz mieć cierpliwość i przyjąć szczerą gościnność z mojej strony, którą będę się starał zwalczyć twą tęsknotę za rodzinnem ustroniem.

Józef przystał na prośbę kupca i uprosił sobie, aby mógł przez ten czas pełnić służbę w wielkim składzie kupca, z czego się tenże serdecznie ucieszył i usługi od tak pocztuiwego męża, jakim był Józef, niezwłocznie przyjął.

Wieczorem tego samego dnia zaprowadził kupiec Józefa do dawniejszego jego pana, kapitana Richtona. Wielka radość, z jaką on dzielnego Józefa przyjął, nie da się opisać. Cały wieczór musiał u niego przepędzić, a na tyśiączne zapytania, które mu zadawał, odpowiadać. Richton wypytywał się częścią o swego przyjaciela, częścią o sprawy wojenne. Dopiero o późnej godzinie w nocy pozwoił mu odejść, odebrawszy wprzód przyrzeczenie, że go z pewnością codziennie podczas swego pobytu w Londynie będzie odwiedzał.

Przy zatrudnieniu szybko Józefowi upływały godzina za godziną, a cořaz żywiej stawała mu w głowie myśl o chacie irlandzkiej i o jej drogich mieszkańcach. A wśród uciechy i radości często mawiał sam do siebie: „Oh, wtenczas dopiero całkiem się będę czuł szczęśliwym, skoro na piersiach mej matki i w ramionach mego rodzeństwa spocznę!“

Nieszczęście.

Józef już kilka dni z największą pilnością u kupca w magazynie towarów pracował. Gdzie był jaki interes, który wymagał uwagi i pocziwości, został przez Lamberta dzielnemu młodzieńcowi zlecany, który się tem zaufaniem wielce cieszył.

Zdarzyło się, iż pewnego poranku został przez kupca wezwany w celu przeniesienia wielkiego pakietu do innego domu handlowego, z tem nadmienieniem, żeby go tylko w ręce samego kupca oddał, a gdyby tego w domu nie trafił, lepiej ze sobą napowrót zabrać.

Józef przyrzekł zlecenie jak najsumienniejszemu wypełnić, a wzięwszy pakiet pod pachę, ruszył w drogę ku domowi handlowemu. Tenże jednak był dość daleko od Lamberta oddalony, a dla Józefa stawał się pakiet coraz cięższym. Zmieniał go więc z jednej strony na drugą, jednakowoż pod pakietem osłabiły się tak jego siły, że bez wypoczynku nie był w stanie donieść poleconego mu ciężaru na miejsce przeznaczenia.

Droga prowadziła przez most, pod którym płynęła rzeka Tamiza. Tutaj więc miał najlepszą sposobność uwolnienia się na krótki czas od swego brzemienia. Chcąc cokolwiek odetchnąć i nabrać nowych sił, postawił pakiet na poręczy mostu i ostróżnie go trzymał obiema rękami.

Lecz w tej chwili kilku uliczników przebiegło przez most obok Józefa i jeden z nich, nie wiadomo, czy z pustoty, czy nieostróżności, trącił go w bok, tak, że Józefowi pakiet z rąk się usunął i wpadł do Tamizy.

— O, cóż ja pocznę nieszczęśliwy! — narzekał Józef; a zwróciwszy prędko oczy ku niebu, wskoczył wśród okrzyku: „Święty Boże, dopomóż mi!“ za pakietem do rzeki, w nadziei, że go znowu dostanie.

Przeszło może pół godziny, kiedy Józef całkiem zmęczony wylazł z wody na brzeg. Pakietu — już więcej nie znalazł.

Narzekając i prawie bezprzytomnie wrócił do domu Lamberta, a mając całkiem przemoczony ubiór, stanął przed kupcem.

— Dla Boga! — zawołał — cóż ci się to stało?

Z płaczem opowiedział Józef szczerze, co go spotkało. Kupiec okrutnie się przeląkł.

— Jest to wielkie nieszczęście! — rzekł, całkiem przerażony nad stratą pakietu. — W pace tej znajdują się rzeczy największej wartości. Co do mojej osoby jestem o twojej poczciwości do głębi przekonany i ani chwili nie waham się, dać ci zupełnej wiary. Lecz z panem, któremu ten pakiet należy, będziemy mieli coś do czynienia. W tej chwili musimy go o tem powiadomić. Ja sam cię osobiście do niego zaprowadzę i zaręcę o twojej niewinności.

Skoro Józef mokry ubiór zmienił, ruszyli w drogę ku domowi handlowemu.

Lambert opowiedział kupcowi krótko i jasno całe zajście. Lecz ten nie był tego usposobienia umysłu, jak Lambert, bo to był skąpy lichwiarz. Nie uwierzył opowiadaniu, zmarszczył czoło i wzruszając to jednym, to znowu drugim ramieniem, szydercze spojrzenia rzucał na Józefa.

Potem zwróciwszy się do Lamberta, rzekł:

— Pan, jak mi to sam mówiłeś, dopiero od krótkiego czasu znasz tego młodzieńca, a zatem nie można jego uczciwości ufać. Więc ta sprawa 'ardzo mi jest podejrzaną.

— Panie — odparł Lambert — ręczę za wierność tego młodzieńca dwa razy tak wielką sumą, jaką była wartość pakietu, który zgubił.

— A chociażbyś mi pan — rzekł kupiec ze złośliwym zapewnieniem — i cały twój majątek zastawił za niego, to jednak nie spowodujesz mnie, abym tego zajścia do sądu nie oddał. Tam się wyjaśni, czy ten

człowiek był rzeczywiście wart pańskiego zaufania. Jeżeli tak jest, wtedy chętnie mu w nagrodę tę wielką stratę daruję i jego uczciwość publicznie ogłoszę. Jeżeli zaś nie był pańskiego zaufania godzien, to niechaj go sędzia karą na galery*) skarże, na które zaiste zasłużył. A pan musi mi wielką szkodę wynagrodzić, dla tego, iż tak ogromną wartość lekko-myślnie oddałeś w ręce oszusta.

Ukloniwszy się, że ledwie dostrzedz było można, obrócił się plecami — i poszedł do innego pokoju. Lambert zaś wrócił z Józefem smutny do swego domu.

W y r o k.

Zaledwie godzina upłynęła, kiedy nagle dwóch sług policyjnych zapukało do domu Lamberta, pytając się hardo o Józefa. Ten wyszedł im naprzeciw z przytomnością i ze spokojem niewinności, wiedząc, że nic nie uczynił, czegoby przed ludźmi i Bogiem mógł się obawiać.

*) Kara na galeryze jest to jedna z najokropniejszych, jakie istnieją w Irlandyi i Francyi. Skazanym na tę karę, ogolą głowę, obłęką go w czerwony ubiór, włożą na nogi przy kostce stalowy pierścień z łańcuchem, który odejmują mu wówczas dopiero, gdy go wypuszczają na wolność po odbyciu kary. Operacya ta jest bardzo niebezpieczna; galernik bowiem kładzie się na brzuchu, nogę jego opierają na kowadle, jeden z towarzyszków jego trzyma ją, a drugi kruszy pierścień, uderzając młotem w dłuto przetknięte do niego. Zdarz się często, że mylnem uderzeniem zgruchocą więźniowi no. Również i bolesne i niebezpieczne są roboty przy okowaniu.

Więźniowie skazani na galery są przykuci jeden do drugiego i tak gromadami prowadzeni do warsztatu w porcie, gdzie muszą najcięższe wykonywać prace, dostając dziennie funt chleba i trochę gotowanego grochu. W dzień i w nocy jak najpilniejszy mają nad więźniami dozór, w nocy zaś, jak tylko żołnierz stojący na straży usłyszy chociażby najmniejszy hałas, natychmiast daje ognia, jeżeli nie odpowiedzą na zawołanie „kto idzie!”

Kupiec z boleścią podał mu rękę i rzekł:

— Bóg cię nie opuści, Józefie! Zapewne On w najlepszym zamiarze zsyła na ciębie to doświadczenie. Bądź mężnym i cierpliwym i weźmij z sobą tę pociechę, że jestem o twojej niewinności mocno przekonany. Podczas kiedy ciebie będą przesłuchiwali, wtedy ja będę prosił Boga, aby i sędziowie tego samego nabrali przekonania.

— Szlachetny panie — odrzekł Józef spokojnie — w Hiszpanii, wpierv nim pierś moją na nieprzyjacielskie wystawiłem kule, obrałem sobie pewne hasło, które moją odwagę odżywiało. Niechaj i teraz hasło to ma znaczenie, kiedy niewinny muszę się przed sąd stawić: „Wszystko z Bogiem i z ufnością na Jego pomoc!”

Józefa odprowadzono, a Lambert pobiegł spiesznie do kapitana Richtona, aby go o tem uwiadomić.

Skoro Józef wszedł do sali sądowej, już tam był jego oskarżyciel, ów skąpy właściciel zgubionego pakietu. Sędzia z podanej skargi nie mógł inaczej myśleć, jak tylko, że Józef jest oszustem i wzmiankowany pakiet w złodziejskim zamiarze gdzieś ukrył.

— Ktoś ty jest? — zapytał sędzia krótko i surowo.

— Nazywam się Józef Mooney — odpowiedział Józef także krótko, lecz pokornie; — a jestem ze służby zwolniony żołnierz z irlandzkiego pułku, który się w Hiszpanii znajduje.

Po tych słowach podał sędziemu uwalniające od wojskowości pismo, które tenże spiesznie przejrzawszy, napowrót oddał.

— A cóż masz w Londynie do szukania? — pytał sędzia dalej.

— Panie — odrzekł Józef — wracam do mej ojczyzny. Kapitan Lambert w Hiszpanii dał mi polecający list do swego brata w Londynie. W tych dniach ma on mnie przewieźć na irlandzkie wybrzeże.

— Czy wiesz — zapytał na nowo sędzia — w jakim celu zostałeś tu przyprowadzony?

— Mogę to odgadnąć — odrzekł Józef — bo przy panu widzę człowieka, od którego przed godziną się dowiedziałem, że nieszlachetnie o mej pocziwości sądzi.

Kupiec na słowa oskarżonego przygryzł wargi i chciał coś na to odpowiedzieć, lecz sędzia kiwnął ręką na znak milczenia.

— Stoisz przed sądem — rzekł znowu sędzia — i wprowadzie od tego pana, który jest powszechnie znany, jako prawdę kochający mąż, jesteś obwiniony, że miałeś ukraść pakiet, zawierający mnóstwo kosztownych rzeczy. Cóż możesz powiedzieć na twe uniewinnienie?

— Że ten człowiek pana okłamał — odparł prędko Józef, a twarz jego pałała gniewem na tak złośliwe kłamstwo kupca. Lecz w tej chwili powróciwszy do dawniejszego spokoju, opowiedział sędziemu w krótkich słowach szczerą prawdę, co się z pakietem stało.

— Zaprawdę — rzekł sędzia zimno — umiesz z wielką zręcznością się uniewinniać, tak, iż muszę uwierzyć, że jesteś albo najniewinniejszym w świecie człowiekiem, albo też najwyszukańszym oszustem. Za pierwszym przemawia twoje honorowe odejście od pułku. Lecz ponieważ twój oskarżyciel ma świadków za sobą, którzy twoje zeznanie zbijają, nie pozostaje mi nic więcej, jak ostatniemu dać wiarę, mając to doświadczenie, że im zręczniejszy jest oskarżony w uniewinnieniach, tem większe jest oszustwo.

Sędzia skinął, a bocznemi drzwiami wpuszczono dwóch brzydkich mężczyzn, którzy dowodzili, iż z brzegu Tamizy spostrzegli, jak ten człowiek, który przed nimi stoi, niosąc przez most pakiet, pospieszył z nim najodleglejszą drogą ku gęstym krzewom. Wkrótce potem widzieli go wracającego bez pakietu do miasta.

Józef spoglądał w milczeniu na sędziego z rzewną miną, przenikającym wzrokiem na oskarżyciela, a na fałszywych świadków z pogardą.

Po zeznaniu świadków odezwał się sędzia:

— Otóż, niema już nic, coby za tobą przemówiło, ani nic, coby świadectwu tych ludzi kłam zadało.

— Jestem obcym w tem mieście — odpowiedział Józef. — A chociaż jakiś człowiek widział to nieszczęście, które mnie na moście spotkało, jednak nie znam tego świadka ludzkiego. Lecz za mną i za moją niewinnością świadczy wszystko widzące oko Boskie.

Józef te ostatnie słowa wyrzekł tak głośno, iż sędzia i oskarżyciel i świadkowie mimowolnie się przestraszyli i przez kilka minut zapanowała w sali głęboka cisza.

Podczas tej ciszy otworzyły się drzwi i weszli kapitan Richton i kupiec Lambert. Józef uradował się niewymownie, widząc w tak stanowczej chwili swych przyjaciół. Dziękczynna łza do Boga zwilżyła jego oko, które wzniosł ku niebu.

— Panie sędzio — zaczął kapitan Richton swym zwykłym głosem żołnierskim. — Przychodzimy obydwaj w interesie tego pocziwego młodzieńca, którego przed panem oskarżono. Obowiązkiem naszym jest wyrwać go z przykrego położenia, w które go przypadek na moście Tamizy wtracił. Jak panu powiem, że on niegdyś w Hiszpanii, jako najwierniejszy sługa i żołnierz, długi czas był pod mojem okiem, to zapewne ani chwili pan nie będzie wątpił o jego niewinności i pocziwości. My nie żądamy, abyś pan tej sprawy nie śledził, lecz tylko, według słuszności i sumienia postępował. Nadto posiada on jeszcze pismo polecające od mego przyjaciela, kapitana Lamberta z Hiszpanii, któremu go przy moim odjeździe do Londynu oddałem, a u którego tenże od tego czasu wiernie służył. Panie, proszę cię, abyś

uwierzył słowom pocziwość miłujących mężów i twój wyrok według tego wydał, aby wieczny Sędzia i panu kiedyś był łaskawym.

A Lambert, obracając się do oskarżyciela, dodał:

— Wam, skąpy i złośliwy człowiecze, któremu podejrzenie, jakby szatan z obydwóch zapadłych oczu wygląda — wam tu przed sądem na nowo powtarzam oświadczenie, jakie wam już w waszem mieszkaniu uczyniłem. Chcę stratę waszych kosztowności aż do ostatniego szeląga wynagrodzić, lecz potem idźcie sobie i dajcie mnie i pocziwemu młodzieńcowi na zawsze spokój.

Kupiec zmarszczył czoło.

— Prawda musi wyjść na jaw — odpowiedział kupiec — dla tego też stoję przed sądem. Powtarzam zaś i panu moje niezachwiane zdanie, jakie w mem mieszkaniu dałem: jeśli ten młodzieniec jest niewinnym, to ze serca daruję mu tę wielką stratę i publicznie ogłoszę jego rzetelność. Nawet ów zgubiony pakiet, skoro się znajdzie, ma być jego własnością. Lecz jeżeli jest winnym, to niechaj będzie na najostrzejszą karę skazany, jaką w tym przypadku prawo przepisuje. A od ciebie, panie Lambercie, mam prawo żądać wynagrodzenia skradzionych kosztowności, zwłaszcza dla tego, żeś pan cudzą własność w podejrzliwe oddał ręce, a przez to stałeś się mniej lub więcej winnym w kradzieży.

— Obrzydliwy człowiecze! — zawołał Lambert — tak daleko już postąpiłeś w twym nieograniczonym bezwstydzie?

— Daj mu pokój — rzekł kapitan Richton i podniósł wskazujący palec prawej ręki z żołnierską powagą. — W duszy jestem mocno przekonany, iż Bóg Wszechmogący niewinność naszego Józefa odsłoni, a złośliwość i sknerstwo tego niesumiennego człowieka strasznie ukarze. Kiedy więc słowa nasze nie poskutkowały, to niech zapadnie wyrok.

Po tych słowach zapanowała na czas niejaki pounura cisza, podczas której Józef wzniósł oczy przez wielki łuk okna ku błękitnemu niebu.

Wreszci: odezwał się sędzia:

— Ponieważ w niniejszym przypadku oskarżony niema żadnych świadków, którzyby zeznania świadków oskarżyciela mogli okazać fałszywemi, dla tego daję od tej godziny trzy dni czasu, po których upływie na usprawiedliwienie oskarżonego zgubiony pakiet znaleźć się musi. W przeciwnym razie oskarżony bez względu na to, czy się przyzna do winy lub nie, ukarany zostanie według prawa.

Poczem skinął; Józefa odprowadzono do więzienia, Richton zaś i Lambert wyszli jednemi, a łakomy kupiec drugiemu drzwiami ze sali sądowej.

Zaledwie przyjaciele Józefa opuścili gmach sądowy, czempędzej poczynili możliwe kroki w celu odszukania zgubionego pakietu. Sług swych wysłali do pracujących na brzegu Tamizy majtków, przyrzekając im znaczną nagrodę, jeżeli który z nich zgubę znajdzie i odda. Pocziwy Lambert chciał z radością tyle ofiarować, ile wartość owych kosztowności wynosiła, gdyby tylko przez to mogła być sława i wolność Józefa uratowana.

Także i chytry kupiec, którego prawda Józefowego zeznania głębokie na nim zrobiła wrażenie, zadawał sobie wszelką pracę, aby jakim sposobem potajemnie przyjść w posiadanie pakietu, ponieważ naprzód już przewidywał swój ambaras, który go oczekiwał, gdyby po upływie wyznaczonych trzech dni ujrzyć go miał w ręku swego przeciwnika. Ani minuty nie mógł spokojnie zasnąć podczas tych trzech nocy. Strach, jak jadowity robak, toczył jego sumienie. Bo jeżeli inni, a nie od niego przekupieni ludzie pakiet z Tamizy wyciągną, to wobec całego świata uchodzić będzie za najpodlejszego człowieka, a wspańiale zabłysłoby zwycięstwo niewinności oskarżonego.

Józef w ciemnem więzieniu modlił się ustawicznie przez całe trzy dni i noce na klęczkach, prosząc Boga o ratunek i pomoc. Wśród gorących łez myślał o matce i rodzeństwie, których już tu na ziemi nie miał więcej oglądać. Smutnie patrzył oczyma przez żelazne kraty, przez które widział wysoko na błękitnem niebie ciągnące chmury ku Irlandyi; a pełnem żalości tonem, przez co nawet sam dozorca przed drzwiami więzienia się wzruszył, zanucił tęskną zwrotkę:

„O, wy chmury na niebie, ciągniecie w tę stronę,
Dokąd się serce moje wyrывa,
Pozdrówcie matkę, brata i całą rodzinę,
Jeśli jej zimny grób nie pokrywa.
Ja za kratami niewinny leży leje!...
Wola to boska!... niech się co chce dzieje!...“

Powoli i okropnie schodziły chwile najcięższe w jego życiu, a nareszcie nadszedł dzień oznaczony i wybiła godzina, w której miał iść do sali sądowej.

Sędzia siedział już milczący i przewracał papiery leżące na stole. Po jednej stronie stał blady i zmartwiony Richton z Lambertem, a po drugiej tryumfujący łakomy kupiec.

Józef został przyprowadzony. Śliczne kędziory młodzieńca, zroszone jeszcze łzami bezsennych nocy, okalały wybladłą twarz jego; oczy miał spuszczone ku ziemi. Tak stał biedny nieszczęśliwy, drżący i słaby w środku sali, mając ręce skrepowane kajdanami skrzyżowane na piersiach.

Nareszcie podniósł się sędzia, spojrzał po sali i zadał ogólne pytanie:

— Czy się zguba znalazła?

— Nie! — odpowiedziano mu.

Józef zadrżał. Richton i Lambert spojrzawszy na niego, rozplakali się.

Potem rzekł sędzia do Józefa:

— Czy przyznajesz się do kradzieży?

Józef na to odrzekł spokojnie:

— Jestem niewinny!

Grobową zapanowała cisza. Sędzia usiadłszy na krzesło zaczął pisać. Po chwili głośno czytał:

„Józef Mooney, uwolniony żołnierz z irlandzkiego pułku w Hiszpanii, jest oskarżony o kradzież kosztowności, którą mu dowiedziono przez świadków. Obwiniony zatem skazanym jest na sześć lat na galary i niezwłocznie będzie na miejsce przeznaczenia odesłanym.

Blady jak chusta, nie mówiąc na to ani słowa, obrócił się Józef w stronę, gdzie jego przyjaciele stali.

— Panie kapitanie — rzekł drżącym głosem — mam jeszcze do pana jedną prośbę: bądź pan łaskaw mojej matce i rodzeństwu donieść, że w Hiszpanii umarłem, otrzymawszy śmiertelną ranę. Bóg mnie i panu to kłamstwo przebaczy!

Po tych słowach oczy jego napełniły się łzami. Józefa odprowadzono.

M a j t e k.

Richton i Lambert stali jeszcze ze załamanymi rękami i patrzeli niemo ku drzwiom, przez które Józefa odprowadzono. Lecz łakomy kupiec zacierał sobie z radości ręce, dmuchając w górę na włosy spuszczone na zachmurzone czoło, prawie tak, jak się to zwykło czynić po ciężkiej pracy, aby sobie twarz ochłodzić.

Aż tu nagle otworzyły się drzwi środkowe i śpiesznie wszedł sługa, zawiadamiając sędziego, że jakiś majtek stoi na korytarzu i na miłość Boga prosi o natychmiastowe posłuchanie.

— Niechaj tu przyjdzie! — rzekł sędzia.

Sam zaciekawiony, zasiadł na krześle.

Nastąpiło powszechne zaciekawienie. Oczy wszystkich w sali sądowej zwróciły się z oczekiwaniem ku drzwiom.

Majtek wszedł, mając pod pachą jakiś pakiet.

— Święty Boże! — zawołał Lambert, drżący z radości. — Panie sędzio, rozkaż pan w tej chwili przywołać więźnia! Jest to ów pakiet z kosztownościami!

Radosny szmer rozszedł się po całej sali sądowej. Tylko łakomy kupiec pobladł.

— Przystąp bliżej — odezwał się sędzia do majtka — i wyjaśnij, jakim sposobem przyszedłeś w posiadanie pakietu!

— Przed dwiema godzinami — odparł majtek — wyciągnąłem go z głębin Tamizy.

— Czy możesz przysiąc na prawdę twojego zeznania? — zapytał sędzia ostrym tonem.

— Panie sędzio — odrzekł majtek obrażony z niechęcią — jestem nędzny i biedak, lecz sumienie moje jest czyste od oszustwa. Gdybym nie był więcej trzymał na moją pocziwość, niżeli na połysk tego świata, to może z trudnością byłbym tu ów pakiet przyniósł.

Sędzia skinął, a dwaj słudzy pospieszyli, aby Józefa przyprowadzić.

Podczas tego panowało w sali głębokie milczenie. Richton i Lambert trzymając się pod rękę, szeptał sobie do ucha, jakby najzaszczytniej przywitać Józefa.

Kupiec z drugiej strony ocierał sobie z obawy pot z czoła, dzwoniąc zębami, jakby mu zimno dokuczało. Czasem też spojrzał ku drzwiom, czyby mu się nie udało niemi cichaczem wymknąć ze sali.

Majtek zaś stał zadumany przy pakiecie, który złożył na ziemię. W pobrunatnionej twarzy, na którą po prawej i lewej stronie gęste spadały kędziory, zastaniające ją nieomal do połowy, było wiele wyrazu. Widoczna, że smutek i troska wyryły na niej swe piętno.

Niedługo ukazał się we drzwiach Józef. Pierwsze jego spojrzenie padło na znaleziony pakiet, leżący

na ziemi, a drugie rzucił na znalazcę. Ale i ten do-
tąd nieruchomy wejrzał w oczy Józefowi.

— Mój brat, Feliks! — słyszeć się dało naraz
z ust Józefa.

— Józefie, mój bracie! — zabrzmiał równocześnie
głos majtki.

I w tym momencie padli sobie na środku sali
w objęcia, a łzy radości popłynęły im po licach.

— Wszechmocny Boże! — zawołali bracia chaty
irlandzkiej, padając na kolana przepelnieni rozkoszą
i szczęśliwością — przyjmij dzięki, nieskończone dzie-
ki za cudowne zrządzenie w tej chwili!

Widząc to zajście obecni, zdziwili się i jeszcze
większa ciekawość ich zdjęła. I sędzia życzył sobie
jeszcze czegoś więcej się o tem dowiedzieć.

Tu opowiedział Feliks głośno w krótkich sło-
wach, jak został majtkiem.

Richton i Lambert wzięwszy obydwóch braci
pomiędzy siebie, uściskali ich, a kapitan Richton
rzekł:

— Niema tak wielkiego nieszczęścia, coby jesz-
cze większego szczęścia z niego powstać nie mogło.
Z nieszczęścia, które was spotkało, wyszło dla jed-
nej strony ku poprawie, dla drugiej strony przynio-
sło ratunek w obronie niewinności.

Nareszcie obrócił się sędzia z poważną miną ku
skąpemu kupcowi.

— Przez waszą podłą obludę — rzekł — byłbym
o mało co niewinnie osądził tego człowieka. Teraz
jednak Bóg inaczej sprawą pokierował. Niewinność
wyszła na jaw, a oczernienie wykryto. Co się tyczy
waszej kary, to już ją własna gęba wasza wyrzekła:
że pakiet, gdy się znajdzie, ma być własnością Jó-
zefa. Ja też, jako sędzia, mógłbym was na większą
karę skazać, gdybyście przyrzeczenia waszego wiernie
nie dotrzymali. A nadto musicie na tem miejscu o-
skarżonego za krzywdę, którąście mu wyrządzili,
przeprosić.

Zawstydzony kupiec uwolnił się tak prędko, jak tylko mógł, od swej publicznej kary. Nie obejrzawszy się już ani na pakiet, wybiegł prawie bez ducha przez drzwi sali sądowej, aby na wolnem powietrzu odetchnąć swobodniej i otrzeźwić się z omdlenia, któreby go o mało nie było w sali powaliło na ziemię.

Falszywych świadków osądził sędzia na karę galerów. Józefa zaś uwolnił z serdecznem uściśnieniem prawicy, mówiąc do niego:

— Zaprawdę, młodzieńcze, na tobie się jasno, jak słońce, pokazało, że poczciwość trwa najdłużej!

Jakby w tryumfie pojechali teraz obaj bracia cha-ty irlandzkiej w przepysznym powozie, który Lambert spiesźnie dał zamówić, do jego mieszkania. Setki ludu biegło przy powozie i za nim, wydając okrzyki radości; bo ten wypadek podczas wyznaczonych 3 dni był daleko i szeroko znajomy.

Za łakomym kupcem pędzili zaś ulicznicy, rzucając na niego błotem i kamieniami, aż wśród niebezpieczeństwa i śmiertelnej trwogi dostał się do swego domu. A nawet i tu zagrożono mu wyłamaniem drzwi i wybiciem okien, aż w końcu dowiedziawszy się o tem sędzia, zakazał surowo tych wybryków.

Józef, który naraz przyszedł do wielkiego majątku, prosił Lamberta, aby mu klejnoty zamienił na pieniądze. Z nich za połowę wykupił swego brata ze służby okrętowej; drugą zaś połowę rozdzielił pomiędzy ubogich.

Otóż nareszcie i dawno oczekiwany poranek nadszedł, kiedy kupiecki okręt Lamberta rozpiął żagle i kołysał się gotów do odjazdu. Richton i Lambert odprowadzili Józefa i Feliksa aż na wybrzeże. Potem wśród serdecznego życzenia pożegnali się wzajemnie.

Przepelnieni nadzieją, radością i tęsknotą, wstąpili dwaj bracia na pokład okrętowy, a niebawem wiatr nadał żagle i okręt posunął się hyżo naprzód, unosząc braci ku wybrzeżom irlandzkim.

Pociecha.

Był to nadzwyczaj piękny wieczór. Dolina chaty irlandzkiej leżała, jakby przemieniona, wśród tajemniczej zasłony zmroku. Zachodzące słońce zostawiło złote i purpurowe resztki swych promieni na pagórkach bazaltowych, które się jeszcze milej odbijały w spokojnem jeziorze.

Kilka krów, które nie padły ofiarą panującej zarazy, wracało z tłustej paszy z brzegu, aby we wygodnym chlewie odpocząć. Mewy i sępy piskliwym krzykiem krążyły w powietrzu nad jeziorem, czatując na pluskające się małe rybki. Z drugich dolin dochodził odgłos śpiewu i fujarek irlandzkich wieśniaków.

Stara Tomaszowa siedziała przy chacie, a obok niej miła Emilcia. Antosia była jeszcze zatrudniona pracą w ogródku, nucąc kilka zwrotek ulubionej piosenki Józefa o Boskiem pocieszeniu, której dźwięk dolatywał aż do uszu rozweselonej matki.

— Słyszysz ten śliczny śpiew? — zapytała z uśmiechem swą wnuczkę — mnie jest przy tem tak błogo, iż mi się wydaje, że Józefowa harfa wnet zawtóruje przy śpiewie twojej matki.

— Dałby to Bóg — odpowiedziała Emilcia, skłoniwszy się ku piersi babki — och, jak będę się cieszyła, kiedy twój słaby wzrok ujrzy jeszcze Józefa, a twoje zbolące serce dozna ulgi na dźwięk mowy jego.

— Bóg Wszechmogący niechaj cię za to pobłogosławi, luba Emilcio — rzekła czule Tomaszowa, głaszcząc drżącą ręką kędziory dziewczęcia. — Jeżeli mi tylko dozwolonem jest dożyć jego przybycia, ażeby jego ręka w mojej spoczęła i abym uczuła jego bijącą pierś na mojej, ponieważ słabe moje oko już go nie będzie mogło dojrzeć... wtedy...

— Będę się za ciebie modliła, babko! — przerwała jej Emilcia i otarła łzę z bladych policzek starej Tomaszowej.

Tu obie na chwilę zamilkły, słuchając śpiewu, który z ogródka ich dochodził.

Antosia w uroczystem usposobieniu swego serca utworzyła w duchu następującą piosenkę:

„Cudny kwiatek w sercu rośnie,
Równym kwieciem człeka zachwyca,
Przezeń znika smutek i cierpienie —
I łyzy gorzkości ociera z lica.
Kwiatkiem tym jest pocieszenie,
Które Pan Bóg wlewa w serca!“

„A obok kwiatu pięknie zielenieje,
Nieśmiertelnie cudne ziółko,
I choć burza z deszczem szaleje,
Roślina ta się wzbija wysoko!
Ziółkiem tym jest nadzieja,
Z którą się człowiek często oswaja:“

— To jest nowa piosenka, Emilcio — rzekła stara Tomaszowa, skoro głos Antosi przebrzmiał w powietrzu; — matka twoja cieszy się nad swem zdrowiem; a pieśń jej oznacza powrót Józefa. — Sądzisz też tak samo?

— Z pewnością — potwierdziła Emilcia — lecz jeszcze radośniej brzmiałby, gdyby oznaczał także przybycie ojca.

— Nie zasmucaj się, dziewczę! — rzekła Tomaszowa, starając się łyzy pieśczołami ukoić, które mimowolnie i obficie z oka wytrysły. — Pociesz się, dziecko — mówiła dalej — skoro mój Józef powróci, będzie ci także i twego ojca zastępował. Bądź mu też zawsze posłuszną córką.

Emilcia nie przestawała płakać. Litościwie tedy babka starała się zwrócić mowę na inny przedmiot, aby dziecka w tak młodym wieku nie nabawiać zbytnej żalości.

— Powiedz mi, moja Emilcio — rzekła — cóż to za ożywiające ciepło rozlacza się po mojem obliczu

i wychudłych rękach. Zdaje mi się, jakby chciały odżyć i na nowo zastąpić siłą to, co moje oczy na wzroku straciły.

— Są to promienie zachodzącego słońca — odparła Emilcia — rzucają one ostatni blask na twe policzki i na nerwy rąk twoich!

— Zaiste, moje dziecko — westchnęła stara Tomaszowa; — w blasku tym jest znak ostatniej pociechy, która mnie jeszcze ma pokrzepić, nim umrę — znak powrotu Józefa? Pójdź, moja kochana wnuczko, a zaprowadź mnie na miękką darninę przed chatę.

Emilcia ująwszy Tomaszową pod rękę, wyszła z nią na wolne powietrze. Tymczasem przyłączyła się także do nich Antosia, która co dopiero swą pracę w ogródku skończyła.

— Matko — zaczęła Antosia — zapewne ty też doznajesz uroczystości tego pięknego wieczora. Jeszcze nigdy nie wydawała mi się postać natury w tej dolinie tak pełną uczucia, jak dzisiaj. Czy się to nie zdaje, jakby duch twego Tomasza z błogosławieństwem przelatywał? Albo, jak gdyby rozłączone z nami drogie istoty się ku nam zbliżały?

— To samo przeczucie — odparła stara Mooney — to słodkie przeczucie wywołało mnie tu na to miejsce. W głębi mej duszy odzywa się głos, iż przed jej nie umrę, póki mego Józefa jeszcze raz nie ujrzę.

— Matko — odezwała się znowu Antosia — czy mam przynieść harfę i ją tam na gałęzi zawiesić, ażeby wietrzyk wieczorny w jej struny zadzwonił?

— Daj pokój, moja córko — odpowiedziała matka; — niechaj ona pozostanie tam, gdzie jest, aż palce Józefa jej pocieszający ton wzbudzą.

— Ależ matko — dodała Emilcia — zrobmy wieńiec z kwiatów na pamiątkę dzisiejszego pięknego zachodu słońca. A jak Józef babki powróci, włożymy mu go z przywitaniem na głowę.

— Tak, moje dzieci, to uczynicie — uśmiechnęła się stara Tomaszowa; — Józef wróci jako kochający

syn i jako bohater do swej ojczyzny, zasłuży więc na ten wieniec honorowy i dziecięcą miłość.

Podczas kiedy Antosia z córeczką rwały kwiatki na wieniec, a Tomaszowa, na kiju oparta, ukłękawszy na darninę, zanosila modły do Boga, zaszły już ostatnie promienie słońca i ciemny zmrok zapadł po całej dolinie.

Niedługo ukazał się księżyc na niebie, rzucając blask swój na wysokie postacie dwóch wędrowców, stojących na bazaltowym pagórku i spokojnie spoglądając na drżącą dolinę.

Był to Józef i Feliks. Umyślnie wybrali oni tę piękną godzinę wieczorną na przybycie do swej chaty rodzinnej i niewymownie cieszyli się na chwilę, kiedy będą mogli spocząć przy sercach swych drogich istot.

— Bądź nam pozdrowiona, kochana chato irlandzka — wyszeptał Józef pokornie; — i ty, dobra, stara matko, któraś przez długie lata opłakiwała twych synów, wesel się! Nim sen zamknie twoje słabe oczy, doznasz najpiękniejszej chwili na ziemi.

— Antosio, wierna małżonko — rzekł Feliks — i ty, moja kochana Emilcio, niedługo spoczniecie w moich objęciach; i wśród łez wzruszenia i dziękczynnych modłów do Boga będę wam mógł powiedzieć, że Feliks stał się innym człowiekiem.

— Kochany bracie — odezwał się Józef — pomódlmy się wpierrw, zanim na pagórek wnijdziemy. Modłami naszymi uświęćmy na nowo dolinę i chatę, ażeby z nami zeszło błogosławieństwo z nieba i odtąd u nas pozostało. Podziękujmy Panu Bogu za tę chwilę, której już dożyć nie mieliśmy nadziei. Podziękujmy Panu Bogu za tę chwilę, w której drogi: nam istoty będziemy oglądali. Podziękujmy za radość nad życiem naszej starej matki i twej żony i dziecka.

Upadli więc na kolana i dziękowali w głośnej, uroczystej modlitwie.

Potem rzekł Józef przy wchodzeniu na pagórek:

— Sprawmy matce niespodziankę. Niechaj jednego i drugiego ujrzy i pozna. Na ten sposób gonić będzie jedna radość za drugą i tak długo trwać, aż słodki sen skleji jej powieki. Bez wątpienia siedzą społem przed chatą i rozmawiają o nas, sądząc, żeśmy w oddali, lub też zasyłają modły swe do gwiaździstego nieba. Bracie Feliksie, idź prosto drogą przed chatę, ja zaś zboczę z drogi i będę się starał dostać tylnymi drzwiami do chaty, skąd im grą mojej harfy radosną sprawię niespodziankę.

Feliks na znak potakiwania skinął głową bratu, który zszedłszy ze ścieżki, podążył przez pastwisko. Przy blasku księżyca w całej pełni doszedł szczęśliwie i bez szelestu aż pod tylne drzwi, które znalazł otwarte. Z uszanowaniem i radością nieopisaną wszedł do izdebki, a ponieważ tam panowała cisza, a na dworze przy blasku księżyca poznał cień matki, więc śledziło jego oko i ręka za dawno niewidzianą harfą. Znalazł ją nad łóżkiem matki, zdjął z kołka, przycisł wśród łez radości i tęsknoty do swego wzruszonego serca i wyszedł tak cichuteńko, jak przedtem, pod przednie drzwi chaty, czekając z upragnieniem na tę chwilę, którąby za najstósowniejszą mógł uważać do dania się poznać.

Feliks zaś zbliżał się prostą drogą coraz więcej ku chacie. Serce jego było gwałtownie, przepelnione radością bliskiego ujżenia.

Antosia i Emilcia kończyły już swą pracę.

— Tu jeszcze tę mszanną różę do środka wieńca trzeba wetknąć — rzekła Antosia — niechaj ona będzie obrazem szczęśliwej przyszłości Józefa, jak do nas znowu powróci. Jak ta róża miękkim mchem porosła, bez kolców się rozwija i kwitnie, tak odtąd niechaj zakwitnie życie Józefa w chacie irlandzkiej.

— Tak, matko — odparła Emilcia płacząc — lecz także i tę gałązkę rozmarynową przywiąż obok róży; niechaj przez nią uczczony będzie nagrobek mego ojca i ma przy róży, znaku szczęśliwego powrotu Jó-

zefa, zielenić i zwiędnać, ponieważ ziemi znaleźć nie mogę, w którą miałabym ją zasadzić.

Z westchnieniem zawiązała Antosia gałązkę rozmarynu przy róży.

— Duszo mego Feliksa — rzekła szlochając — niechaj ci ta pamiątka z rąk twego dziecka będzie przyjemną i błogosław ją!... Albo jeżeli jeszcze pomiędzy żyjącymi bawisz, to staraj się wszelkimi siłami dostać się do twoich oplakujących cię osób.

— Wieniec jest gotowy, matko — wtrąciła Emilcia — zanieśmy go babce, aby go schowała do powrotu Józefa.

Powstały z ziemi, chcąc starej Mooney zanieść wieniec.

— Jakto — odezwiała się znowu Emilcia, rzuciwszy swym bystrym wzrokiem po dolinie — zdaje mi się, jakby jakaś postać drogą do naszej chaty się zbliżała? Ciemno i niedopoznania rusza się to w blasku księżyca! Czy nie widzisz nic, matko?

Antosia spojrzała ku stronie, gdzie jej Emilcia ręką wskazała.

— Masz słuszność, moje dziecko — odpowiedziała — to jest, jeżeli się nie mylę, mężczyzna. Jak on to teraz kroku przyspiesza! Czy nie zmierza on ku nam? Zapewnie musiał nas pomiarkować! Niezawodnie będzie to jaki nieszczęśliwy człowiek, który na noc szuka schronienia i jest głodny. Lecz, ach, czemuż ja coraz więcej drzę na całym ciele w miarę, jak on się przybliża? Nie mam żadnej obawy przed nim, nieomal cieszyć mogłabym się jego obecnością — a jednak mnie strach ogarnia.

— Matko — mówiła Emilcia — pomóżmy temu nieszczęśliwemu człowiekowi!

— O tak, pomóżcie mi! — zawołała nagle postać stojąca już przed nimi, zdejmując kapelusz, który dotąd twarz majtki zakrywał. — Pomóżcie mi! Wy tylko jedyne możecie mnie uszczęśliwić!

— Święty Boże! mój Feliks! — zawołała Antosia, rzucając się na szyję męża.

— Mój ojciec! — zawołała Emilcia i objęła go za kolana.

— Gdzie Feliks? — odezwał się głos starej Tomaszowej, która podniósłszy się, chciała ku nim pobić. — Gdzież on jest? O pójďte i zaprowadźcie mnie do niego! Błądzą dokoła, a odszukać go nie mogę. Wiecie przecież, jak słabe mam oczy! O zawieźcie mnie do niego!

— Matko! — wołał Feliks, oderwawszy się od żony i dziecka — tu upadam u twych kolan! Bogu niech będą nieskończone dzięki, iż cię znowu oglądam.

— Feliks żyje! — zawołała stara Tomaszowa, a łzy radości wytrysły z jej słabych oczu. — O wielki Boże, przyjmij w pierwszej chwili za powitanie go gorące dzięki starej matki. Feliksie, gdzie jesteś? Pójdź, niech cię przycisnę do serca macierzyńskiego. Teraz dopiero uczuвам w pełnej mierze utratę mojego wzroku. Lecz rano, Feliksie, jak słońce zejdzie, będę mogła się do woli napatrzeć, bo słońce oko moje wzmocni. Antosio, pójdz i ty Emilcio, czemuż twego ojca nie pozdrawiasz? Ależ, mój Boże, jak mogę tak mówić? Przecież Feliks trzyma swą córkę w objęciach.

Chwilę tak stali w blasku księżyca.

— O gdyby tu teraz Józef był! — westchnęła stara Tomaszowa, wyciągając z upragnieniem ręce w powietrze. — Antosio — dodała — idź do chaty, a przynieś Józefową harfę, niechaj i jej przy naszej uroczystości nie brakuje.

— Matko — odrzekł Feliks — zaśpiewajmy raczej piękną pieśń Józefa, a jeżeli się jego harfa odezwie, będzie najpewniejszym znakiem, że Józef żyje i jest już niedaleko.

I jakby z jednej piersi zabrzmiała pieśń:

Jeśli człowiek Bogu zaufa szczerze
I w cierpieniu modli się do niego w wierze,
Pan Bóg za to ześle pomoc z nieba,
Tam, gdzie jej się okaże potrzeba;
Także i w każdej potrzebie ducha,
Bóg ufających Jemu pocieszy, wysłucha!

Wśród tego śpiewu zabrzmiał głos harfy z chaty.
— Cóż to jest? — zawołała Tomaszowa, z wyłączeniem słuchając grania — czy to duch Józefa przemawia do nas przez struny harfy? Lub też mam wierzyć, że to jest jego ręka mistrzowska, która owe tony wydobywa? Nikt inny nie może być tu w pobliżu, jak mój Józef! Idźmy, muszę się przekonać o tym cudzie! Jeżeli to jest duch jego, niechaj tedy złoży pocałunek na moje usta i ostatni mój oddech niechaj w uroczystem usposobieniu serca mego podąży za nim. Jeżeli to jest Józef żywy ciałem i duszą, to niechaj spocznie w objęciach matki radością przepelnionej!

Chciała pospieszyć do chaty, lecz Feliks ją zatrzymał, a Antosia rzekła:

— Matko, matko, posłuchaj jeszcze!

Nagle uroczysta zapanowała cisza i zabrzmiał śpiew z chaty:

Bogu ofiarowałem moje utrapienie,
On mi też w smutku dawał pocieszenie;
Prośby mojej nie odrzucił,
I do matki mnie powrócił,
Gdzie jej z radością w ramiona upadam,
A za tę pociechę Bogu dzięki składam!

Jeszcze śpiew nie był skończony, kiedy stara Tomaszowa zawołała:

— Dzieci, puście mnie, to jest głos Józefa! Wszchemogący Boże, udziel moim oczom choć aby jedną sekundę wzroku, a nogom moim choć tylko na chwilkę siły, żebym spieszenie — jak najspieszeniej —

mogła wniknąć do chaty. To jest głos Józefa — to jest...

— Twój Józef osobiście! — rozległ się głos na piersiach starej matki, która osłabiona, na progu chaty uklękła na kolana, trzymając w objęciach swego drugiego syna.

— Bóg niech będzie pochwalony i Jego cześć nieustannie wysławiana! — zawołała matka drżącym głosem; — teraz chcę z chęcią umierać, ponieważ znów synów moich uściśkałam!

— Matko, moja kochana matko! — wyszepnął Józef, wylewając czułe łzy na piersi matki.

— Mój brat Józef! — wołała Antosia z rękami ku niemu wyciągniętymi.

— Drogi mój wuju! — pochlebiała mała Emilcia, obejmując Józefa za kolana.

— Feliks żyje! Józef, żyje! Obaj synowie moi żyją i są mi znowu oddani! — zawołała nareszcie stara Tomaszowa — dziatki, uklękniemy na kolana a podziękujmy Bogu!

Uklękli i gorące modły do Boga zanosili, a księżyc przyświecając, błogosławił ich wspólnej modlitwie.

Potem weszli do chaty, a skoro usiedli, nalegała stara Tomaszowa, aby opowiedzieli, jak im się powodziło.

— Matko — zaczął Feliks, spuściwszy wzrok swój pełen wstydu i skruchy ku ziemi — ja będę najpierw opowiadał, a potem dopiero Józef. Wprzód jednak, nim zacznę, muszę ciebie i Antosię o przebaczenie prosić, zapewniając was, że ostatni mój nieroztropny postępek na zawsze mnie od moich błędów uwolnił.

Opowiadając przygody, nie zataił nic przed wszystkimi, co czynił i przez co siebie i rodzinę w największe nieszczęście wprowadził.

— Feliksie — rzekła matka — nieszczęście to uważam za największe szczęście dla nas i dla ciebie, bo ono było dla ciebie drogą poprawy. Smutne chwile

niechaj będą odtąd zapomniane. Będiesz znowu wiernym małżonkiem twej Antosi.

Skoro Feliks skończył, musiał Józef opowiadać. Potrafił on też z tak wielkiem wzruszeniem przygody swoje wypowiedzieć, że czułym kobietom ciągle łzy w oczach stały. O swych czynach bohaterskich zamilczał ów roztropny młodzian, jeżeli do objaśnienia jego opowiadania nie należały. Żywiej za to przedstawił postępek majtka, przez którego przed sądem i wszystkimi ludźmi jego niewinność jasno i wyraźnie udowodnioną została. Niemniej podniósł także żywo szlachetność obydwóch kapitanów, pod których stał rozkazami.

— Twoje błogosławieństwo, kochana matko — tak kończył opowiadanie — wasza wspólna modlitwa, ręka Boska, moja ufność na pomoc z nieba, mój mocny umysł i siła młodzieńcza, przeprowadziły mnie przez te wszystkie grożące mi niebezpieczeństwa we wojnie i na morzu. Smutny szedłem jako rekrut w szeregi żołnierskie, a wesół stoję znowu w ojczyźnie, przy boku mej najukochańszej matki i w gronie drogich mi osób.

Nareszcie opowiedziała także i Antosia o biedzie, która przez ten czas w chacie irlandzkiej pañowała. Kiedy jednak zrobiła wzmiankę, że przez zrządzenie Boskie pomoc nadeszła, zaczęła stara Tomaszowa dalej opowiadać i nie zapomniała przytem opisać dobrodusznosci liłościwej panienci, Berty, w tak wzruszających wyrazach, że każdemu z nich łza w oku wystąpiła.

Po chwili rzekła znowu stara Mooney:

— Józefie, mój kochany synu, zadzwieńcz jeszcze raz twymi palcami w struny harfy, nim się na spoczynek pokładziemy, niechaj jeszcze raz zabrzmia, aby nas słodkie sny kołysały. Ach, długo, bardzo długo były te struny dla mnie bez życia i pociechy! Zanuć nam piosenkę, która pokój i radość tejże nocy poświęci. Potem, kochane dziatki, połóżcie się na

spoczynek i śpijcie spokojnie i szczęśliwie w naszej chacie irlandzkiej.

Józef wziął harfę do ręki, a podczas gdy Antosia i Emilcia na łonie Feliksa wieniec z róż i rozmarynu nad głową jego trzymały, śpiewał Józef:

„Matka z dziećmi znów się ujrzała!
Smutek się skończył, radość nastąpiła!
Ześlij nam Boże pociechę niebieską,
Bo Tobie zbudowano chatę irlandzką!
Zamknij też znowu po pierwszy raz,
Oczy nasze do snu, aż w ranny czas!”

Po skończonym śpiewie udali się wszyscy na spoczynek, a anioł snu okrył ich skrzydły swemi.

Niespodzianka.

Z synami starej Tomaszowej wróciło także szczęście i dobrobyt do chaty i doliny.

Wkrótce zakwitły i dojrzały pola na nowo pod troskliwą opieką Józefa. Kilka pozostałych krówek wyrosło znowu na małą trzodę, które na kwiecistych łąkach miały obfitą paszę. Kwiaty i drzewa obradzały się jego ręką sadzone i oczyszczane, a chata stała tak ładniutka i w najpotrzebniejsze narzędzia gospodarcze zaopatrzona, jak dawniej. Niemniej starał się i Feliks wprowadzić jezioro do swego starego brzegu i dziczynę, która w czasie jego nieobecności bez obawy i popłochu z pól i łąk w dolinie zajęła siedlisko, potrafił ją z łatwością w gęstwinę lasu wypędzić. Antosia mogła znowu sama zająć się gospodarstwem domowym, przyczem jej służyła radą stara Tomaszowa z troskliwą opieką macierzyńską. Emilcia pomagała matce swemi młode siłami i drobnemi rączkami, tak dobrze, jak tylko mogła.

Dzień po dniu na ten sposób upływał wśród wspólnej pracy i zatrudnienia. Wieczorem zaś siedzieli

razem rozweseleni, śpiewając piosenki do harfy józefowej, lub niejedno wspomnienie z historyi rodzinnej z przeszłych lat stara Tomaszowa opowiadała. Ponieważ zaś także matka miała wielką radość z tego, musiał więc Józef opowiadać szkockie powiastki.

Tak znowu wśród zgody i szczęścia kilka lat upłynęło.

Było to właściwie w sam dzień pierwszego maja, kiedy cała rodzina siedziała razem przed chatą i patrzyła z radością na kwitnące, obsiane pola. Rozmawiali o szczęściu niebieskiem, które przez te kilka lat coraz więcej ich gospodarstwo nawiedza.

— Spójrzcie — rzekł naraz Józef — tam ku pagórkowi, przez który droga od Brai przechodzi! Nie wygląda to na wielki, przepyszny powóz, który tu jedzie ku dolinie?

— Tak, zaprawdę! — odparł Feliks; — mnie się też tak zdaje!

— Bracia — wtrąciła Antosia — cóżby tu wielki, pyszny powóz w naszej dolinie miał do czynienia? musiałby chyba zabłądzić!

Stara Tomaszowa zaś uśmiechnawszy się, rzekła:

— O, gdybym jeszcze taki bystry wzrok posiadała, jak wtedy, kiedy trzymając Feliksa na ręku, przed chatą wyglądałam na mego Tomasza, mogłabym tedy łatwo wasze powątpiewania rozstrzygnąć. Lecz dziś nie mogę, chociażbym i najsilniej moją ostatnią siłę wzroku nateżyła.

— Tak, tak, babko — wołała Emilcia — ja mam młode, przenikliwe oko. Poznam sokoła na najodleglejszej skale i najmniejszą rybkę głęboko na dnie jeziora. Z pewnością, babko, jest to przepyszny powóz.

Z ciekawością wyszli wszyscy przed chatę, a w tej też właśnie chwili zatrzymał się powóz przed drzwiami.

— Jest to możebnem? — zawołał Józef i podszedł ku najpierw występującemu oficerowi naprzeciw.

— Dobroczyńcy moi — krzyknął Józef radośnie — odwiedzają mnie w biednej chacie irlandzkiej!

Podróżnymi byli kapitan Richton, kapitan Lambert i jego brat, kupiec z Londynu. Kapitan Lambert już przed rokiem powrócił z Hiszpanii i piastował ten sam urząd w głównej kancelaryi wojskowej miasta stołecznego Anglii, jak jego przyjaciel Richton.

— Jest to twoja matka? — zapytał kapitan, kiedy Józef przychodniów wprowadził do chaty. — Przyszliśmy, Józefie, aby cię jeszcze raz oglądać i twoje rodzeństwo poznać. Przychodzimy też i dla tego, aby ci w imieniu ojczyzny za uczynioną służbę podziękować i twe czyny bohaterskie odznaką uwieńczyć.

— I ja — dodał kapitan Lambert — mam jeszcze trzeci powód do tej dalekiej podróży. Jest to słodkim obowiązkiem wdowie pocziwego Tomasza Moonego, który mnie uratował a przy ratunku moim sam życie utracił, ustnie złożyć jej podziękę i osobiście nagrodę oddać. Może jest mój czyn za małym, aby bohaterstwo wynagrodzić. Tomasza do życia także już przywołać nie mogę. Lecz niech się wdowa i jej dzieci dowiedzą, że ten waleczny majtek nie dla niegodziwego człowieka swe życie na igraszkę falom morskim wystawił. Przyjmij więc gorący uścisk mej dłoni jako podziękę od ocalonego kapitana i zanieś twemu Tomaszowi, kiedy raz do niego pójdziesz. Ażebym się i z mego obowiązku mógł uwolnić, to nie pogardź tą sakiewką ze złotem, którą ci ofiaruję. Pieniądz ten ma cię nadal zabezpieczyć od niedostatku.

Drżąca od radości i zdziwienia stara Tomaszowa musiała podarek przyjąć, chociaż się z początku dosyć wzbraniała.

Kapitan Richton obróciwszy się do Józefa rzekł:

— Tobie, dzielny żołnierzu, przyniosłem odznakę godności, którą niejeden waleczny w naszym szeregu z Hiszpanii do domu przyniósł. Przyjmij ten krzyż,

który niechaj błyszczy na twojej piersi, a będzie to dowodem dla sąsiadów i całej okolicy, jak uczciwie i dzielnie w Hiszpanii się sprawowałeś. Tylko ten, który chlubnie odniósł blizny za ojczyznę, może się tym znakiem poszczycić. Ty zaś zasłużyłeś podwójnie na to. Abyś zaś w podeszłym wieku nie potrzebował cierpieć biedy, postaraliśmy się o to, że twoja roczna pensya jeszcze o połowę będzie podwyższoną. Używaj jej i dziel się nią z twoją starą matką i twym rodzeństwem. Żyj wesół i spokojnie i odpocznij po wycierpianych niebezpieczeństwach.

Kupiec Lambert udarował wszystkich, począwszy od starej Tomaszowej aż do wnuczki Emilci, rozmaitemi pięknymi drobnostkami, które ze swego składu zabrał.

— Podróż tych znakomitych panów do chaty irlandzkiej — rzekła Tomaszowa płacząc z radości — jest mi nowym dowodem, jak Józefa kochali. Tak więc jego szlachetne sprawowanie się pomogło mnie i wszystkim. Cnotliwych Pan Bóg nigdy nie opuszcza. Któżby się był wtenczas spodziewał, kiedy Feliks wrócił bez niego, kiedy długo, długo od niego żadna wiadomość do doliny nie nadeszła, a potem kiedy i Feliks nie przyszedł, a my nie wiedziałyśmy, gdzie go szukać, nareszcie i wtedy, jak Antosia śmiertelnie chora leżała, jak stara Mooney niewidoma, drżąc na całym ciele, przy jej łożu narzekała, jak wnuczka Emilcia rano i wieczorem przed chatą na klęczkach wołała o pomoc do nieba — któżby wtenczas jeszcze był mógł myśleć, że się to wszystko znowu w takie szczęście obróci? że chata irlandzka, niegdyś miejsce pokoju i ziemskiej szczęśliwości, potem zaś mieszkanie płaczu i niedostatku, w końcu znowu stanie się siedliskiem szczęścia? Ufność do Boga nigdy człowiekowi nie zaszkodzi. Myśmy Bogu ufały, a On nam też przyszedł w pomoc!

Goście musieli przez trzy dni w chacie irlandzkiej zabawić. Józef nie przestał nalegać, aż prośbie

jego zadosyćuczyniono. Lecz skoro czwarty dzień nadszedł, rychło rano stał już powóz przed drzwiami gotowy do podróży.

— Józefie — rzekł kapitan Richton, podając zasmuconemu młodzianowi rękę — cinciałbym cię z sobą zabrać i przez całe życie mieć u siebie. Taki był mój i przyjaciela mego plan. Atoli czuję teraz, że nie byłoby słusznie, gdybyś od twej niewidomej matki odchodził. Wiem bardzo dobrze, żebyś i ty jej nie opuścił. Józefie, chwila rozstania się zbliża, więc musimy jeden drugiego pożegnać. Zapewne w tem życiu już się nie ujrzymy. Lecz na drugim świecie, gdzie nie grzmia armaty, ani huczą trąby, prócz głosu uwielbienia Wszechmogącego Boga, tam się znów ujrzymy. Bywaj zdrów, a bądź jak dotąd dobrym synem twej matki!

— Wybawco mego życia, bywaj zdrów! — zawołał mocno wzruszony kapitan Lambert, przyciskając Józefa do swej piersi. — Bóg ci w przyszłym życiu wynagrodzi to, czego ja ci wynagrodzić nie jestem w możności!

Józef nie mógł ani słowa wymówić. Chciał łyzy, które mu w oczach stały, ukryć przed posiwiałymi wojownikami; ale jednak w końcu nie mógł się od tego wstrzymać.

— Dałby Bóg — westchnął — abyśmy się znowu wszyscy mogli ujrzeć w morzu wieczności, gdzie mój ojciec już dawno łódkę życia zapuścił na kotwicę!

Kupiec Lambert, na którego trzydniowe pożycie w chacie irlandzkiej dziwne wrażenie wywarło, rzekł, nim wszedł do powozu:

— O jakże niezmiernie się cieszę, że z bratem moim i przyjacielem jego tę podróż tu dotąd przedsięwziąłem. Zaprawdę, odchodzę tu o wiele mądrzejszy, aniżeli przyszedłem. Teraz dopiero wiem, jak postępować trzeba, aby dni żywota wesoło i szczęśliwie można przepędzić. Tysiąckrotnie chciałbym taką matkę pobłogosławić, która tak dobre dziatki wychowała.

Lecz życzyłbym sobie i takich dziełek, które swych rodziców kochają z całego serca. Takim sposobem staną się te pięcioro serc jednym sercem, a uboga chata będzie jakby rajem. Bywajcie zdrowi i nie zapomnijcie w waszych modłach i kupca z Londynu!

Wzruszeni podróżni wsiedli nareszcie do powozu i odjechali. Z płaczem stała ciągle jeszcze zasmucona rodzina przed drzwiami i patrzyła za nimi, aż w końcu powóz zniknął im z oczu za pagórkami.

— Józefie — odezwała się matka — zaprowadź mnie do chaty, a drudzy niechaj za mną idą. Twoja harfa niechaj podróżnym zabrzmie ostatnie pożegnanie, a modlitwa nasza niechaj im towarzyszy, aż powrócą do swej ojczyzny.

W milczeniu weszli wszyscy do chaty.

Błogosławieństwo.

Przeszła znowu wiosna i jesień i lato. Z łąk pozbierano już całkiem paszę zimową dla mnożącego się bydła. Pola, gdzie rosło zboże i len, stało już огоłocone ze swej dojrzałej ozdoby, a drzewu przed chatą stojącemu zdjęto ciężar owocowy. Nadzwyczaj bogaty rozmaicie pożyteczny był wypadek urodzaju tego roku w dolinie.

Jednakowoż rodzina chaty irlandzkiej nie mogła się z tego cieszyć. Bo, jak się zdawało, to stara Mooney za swym Tomaszem podąży do wieczności, nim jeszcze ostra zima nadejdzie. Wzrok jej był już całkiem zaćmiony. Nie mogła już ujrzeć żadnego ze swych dziełek, nie widziała już Józefa, więcej już nawet nie widziała promieni słonecznych. Skóra na twarzy i rękach powlokła się zmarszczkami największej starości, a czerwone plamy, zwiastunki bliskiej śmierci, oznaczyły jej czoło.

Nad tem płakały dzieci w cichości, mówiąc jedno do drugiego:

— Matka nasza spocznie w grobie, nim płatki śniegu zakwitną na oknach naszej chaty!

Stara Tomaszowa, spostrzegłszy smutek dzieci, rzekła z uśmiechem:

— Czemuż się smucicie, dzieci moje? Śmierć objawia mi się jako najmiłszy posłaniec, przynoszący mi wiadomość z niebieskiej krainy i zaprowadzi mnie do waszego ojca. Przecież już dosyć długo żyłam tu na ziemi. Wtenczas, gdym was znowu, moi synowie, po raz pierwszy ujrzała po długim szeregu lat, wtedy to modliłam się uradowaniem sercem do Boga: „teraz chcę z chęcią umierać, kiedy synów moich widziałam!“ Lecz Bóg najdobrotliwszy pozwolił mi jeszcze kilka pięknych latek z wami przeżyć i niejednej słodkiej radości zażyć. Jemu niech będzie cześć i dzięka we wieczności! Lecz teraz oko moje twarzą waszych nie widzi; słoneczne promienie i gwiazdy na niebie są memu zamarłemu wzrokowi usunięte; a ucho moje zaledwie jest w stanie głosu wasz dosłyszeć. Dla czegoż więc miałabym sobie życzyć dłuższego pobytu tu na ziemi?

Lecz dzieci, wybuchnąwszy płaczem, zawołały:

— Czy my cię to już nie kochamy, matko? I czy to już nie masz uciechy w chacie irlandzkiej?

Pewnego razu siedzieli znowu razem przy łożu niewidomej matki, kiedy ta zebrawszy wszystkie swoje siły, zaczęła mówić:

— Dzieci, mam jeszcze jedno życzenie do was, które mi głęboko z serca wychodzi. Chata irlandzka ma pozostać na wszystkie czasy miejscem słodkiej zgody i zadowolenia. Co uprawicie i zeżniwujecie, macie się tem podzielić z miłością braterską; co jezioro i las przynosi, niechaj każdemu jednako należy. Radości wspólnie zażywajcie, a cierpienia pomagajcie jeden drugiemu znosić. Bądźcie cnotliwymi, bo cnota tylko stanowi najwyższą mądrość i prawdziwe szczęście człowieka! Jedną rodziną macie być i po-

zostać, ażeby powszechnie mówiono: kto chce widzieć pokój, niechaj idzie do chaty irlandzkiej!

Dzieci uchwyciwszy jej zółtką, skostniałą rękę, przyrzekły uroczyście jej życzenie wypełnić.

— Józefie, mój synu kochany — ciągnęła dalej stara Tomaszowa — gdzie jesteś? Chodź ku mnie i daj się jeszcze raz dotknąć, kiedy cię oko moje już nie może ujrzeć. Skłoń głowę twoją do mej piersi, a ja na nią położę mą rękę. Kochany mój Józefie, już ci przecież nieraz opowiadałam o cichej, miłej i pocziwej dziewczynie z tutejszej doliny, która życie strapionych i opuszczonych chorych w chacie irlandzkiej z miłością i poświęceniem utrzymała. Ty sam już ją nawet widziałeś. Józefie, nie chcę dalej dotykać strun twego serca! Lecz stara twoja matka rada by była, nim się przeniesie do wieczności, ażeby przy boku Józefa stała istota, która jest godną nazwać go małżonkiem!

Józef się zarumienił i przycisł rozczzerwienioną twarz do piersi matki. Potem odszedł, nie mówiąc ani słowa.

Po kilku dniach pragnęła Tomaszowa jeszcze użyć świeżego wieczornego powietrza i przysłuchać się pożegnalnego śpiewu jesiennego odlatującego ptactwa.

— Dzieci — rzekła — zaprowadźcie mnie jeszcze raz na darniową ławeczkę! Będzie to z pewnością ostatni raz, że mi tę przysługę spełnicie!

Dzieci wyprowadziły ją wśród łkania i płaczu przed chatę.

— Gdzie jest Józef? — zapytała matka — nie czuję jego ręki wśród tych, które mnie prowadzą.

— Matko — odparł Feliks — Józef wyszedł, aby ci radość i pociechę zrobić.

— On zaraz wróci — rzekła Antosia, widząc Józefa spieszącego przez dolinę ku chacie.

— Babko! — pochlebiała mała Emilcia — czy ja cię nie kocham?

Stara Tomaszowa z tkliwą żalością wyciągnęła ręce ku swej miłej wnuczce.

Nareszcie przyszedł i Józef, prowadząc za rękę zarumienioną cnotliwą Bertę przed matkę.

— Twoje ciche życzenie było moim słodkim obowiązkiem — rzekł — daj nam teraz twoje błogosławieństwo, matko!

Stara Tomaszowa się uśmiechnęła. A był to jej ostatni uśmiech.

— Tak — rzekła — dobre serce mojego Józefa poznaje na nowo. Działki, będzie wam się dobrze tu na ziemi powodziło! Berto, ja nigdy o tobie nie zapomniałam! Już wtenczas, kiedyś przy łożu chorej twej bratowej stała, gdy twoja pracowita ręka ją pielęgnowała, a twe czułe serce jej boleść dzieliło — wtenczas już myślałam o moim Józefie w oddali i do Boga gorące zanosłam modły, aby sprawił, żebyś moją córką pozostała, jeżeli Józef jeszcze żyje. Nieskończone dzięki niechaj będą Wszechmocnemu Stwórcy za tak cudowne zrządzenie całej sprawy!

Feliks i Antosia, przystąpiwszy ku młodej parze, uścisnęli serdecznie nową przyszłą siostrę.

— A teraz, dzieci moje — mówiła dalej stara Tomaszowa — usłuchajcie mojej ostatniej przestrogi: Miłujcie się wzajemnie! Były to słowa naszego Pana i Zbawiciela, kiedy z tej ziemi odchodził. Miłujcie się wzajemnie! Są to i moje ostatnie słowa do was. W spełnieniu tej przestrogi leżą cnoty wasze i szczęśliwość. Miłujcie się wzajemnie i nigdy się nie opuszczajcie, czy to w radości czy smutku! Wpajajcie w dzieci wasze już w pierwszej młodości zasady wiary chrześcijańskiej; bo wiara tylko zaspakaja ducha ludzkości, podnosi i pociesza najsmutniejsze dusze i daje życie zwątpiałym umysłom. Uczcie je też chwalić Boga Stwórcę i przyzwyczajajcie do wypełniania słodkich powinności, ażeby po niepamiętne czasy kwitła zgoda w rodzinie chaty irlandzkiej. A

teraz, dziatki, przyjmijcie jeszcze moje ostatnie błogosławieństwo!

Z płaczem ukłękły dzieci około matki. Ona zaś położywszy ręce na ich głowy, rzekła wzruszonym i uroczystym głosem:

— Bóg dobrotliwy niechaj zleje zdrój obfity swego błogosławieństwa na was i waszych potomków. Niech wam pozwoli, aby wam się na polu rodziło, niechaj mi pozwoli używać świętego szczęścia, abym znowu kiedyś mogła ujrzeć każde dziecko z chaty irlandzkiej w błogosławionym kraju pokoju. Duch ojca waszego niechaj synowie moi we was odżyje i miłość matki waszej niechaj rozpali serca małżonek waszych. Bywajcie zdrowi i nie zapominajcie nigdy na duszę waszej niewidomej matki! Pokój i szczęście niechaj panuje w chacie irlandzkiej!...

*

*

*

Nim po późnej jesieni ostra nastąpiła zima, płakali mieszkańcy chaty irlandzkiej nad grobem swej matki. Ostatniem jej życzeniem jeszcze było przed samym zgonem, aby włożono do trumny kapelusz jej małżonka, co też dziatki wiernie wypełniły. Harfa Józefowa zaś rano i wieczorem na pagórku żalosne wydaje dźwięki, wtórując do smutnego śpiewu dzieci nad grobem ich babki.

Wkrótce nad grobem matki stanął wysoki pomnik, na którym był wryty dzień śmierci, tak jej, jak i starego Tomasza. Podróżni, zwiedzający w nowszym czasie chatę irlandzką, zapewniają, że jeszcze szczątki tego pomnika widzieć można.

Dzieci starej Tomaszowej, stanawszy raz wśród pięknej nocy wkoło grobu matki, podawszy sobie ręce, zawarli związek rodzinny. A błogosławieństwo matki spoczywało odtąd nad cichą chatą irlandzką i jej spokojnymi mieszkańcami.

*

*

*

Powieść niniejsza jest najjawniejszym dowodem Boskiej sprawiedliwości, której przykłady tak często w życiu ludzkim napotykać się dają. Gdyż Bóg na ludzi zsyła próby i cierpienia, a kiedy widzi, że znoszą to bez szemrania i zgadzają się z wolą Jego, hojnie ich jeszcze w tem życiu wynagradza i smutek i cierpienia zamienia w radość.

Człowiek też nie do samych rozkoszy i szczęścia rodzi się na świecie. Nigdy on drogi życia nie przebiega po samych kwiatach, bo jak czarne chmury słońce otaczają, tak też i człowiek przebywa różne w życiu koleje.

W każdym razie człowiek z wytrwaniem dopuszczenia te znosić powinien, a one przeminą i znowu słońce szczęścia będzie jego życiu przyświecało.



GAWĘDA WIARUSA.

(WSPOMNIENIE Z KAMPANII NAPOLEOŃSKIEJ
W HISZPANII).

Jeśli puścisz wzrok po błoni, ujrzysz chatkę na ustroniu, chatkę starą, niską, białą, pochyloną prawie całą... Dach jej zgarbion ugiął głowę. Leżą na nim liście płowe, z drzew stojących naokoło, które dumnie wznoszą czoło i jak gdyby strzegły chaty, wysunęły dąb na czaty.

Dąb pochyły z ławką małą, gdzie siadywał wojak Dusza, z wąsem siwym, czapką białą, z szablą starą u kontusza. Wszak to wojak zawołany, w bitwach ręce wodził tany, był w Hiszpanii za cesarza, z długą wokół czoła blizną; łeb przypruszył czas siwizną, kark ugięty od bagaża; miło słuchać, gdy pod drzewem siedzie bając na wpół z gniewem, i do siebie dziatwę nęci. W ręku stara drga szablica, promienieją ogniem lica; czasem łza się w oku kręci...

A gdy dziatki go okrążą, wieńcem z rącząt go obwiązają; to żołnierza nawet bawi... więc odburknie się z uśmiechem, że aż lasy wtórzą echem, i tam im swe życie prawi:

„Heł mosanie! czas już mija! czas już mija, lgnie do ziemi stara szyja, gdy człek wspomni młode lata... i gdzież dawna moja siła? starość rękę mą skurczyła, czas już ruszyć z tego świata! tak, mosanie! Nie wie młody, co za klejnot ma z swobody, gdy starości jest z daleka; cóż, żem silny, zdrów na duchu; gdy mi braknie sił i ruchu; tegi, śmiały — lecz kaleka! kolej życia mi już zbrzydła, śmierć niedługo złapie w sidła: jej i szabla nie zagrozi! choćbym śmiało stawiał czoło,

gdyby wróg tu stał wokoło... jednak starość krew już mrozi...

Nie tak żyło to przed laty! — człek był silny, zdrów, zakaty! płaszał śmiało po tym świecie... — lecz ja nudzę, moje dzieci! wieczór bliski, czas już leci, a wy jeszcze nic nie wiecie...

Ot! w Zakraju — pięknej włości, którą trzymał podstarości, żyła moja dobra matka... przy niej bąki to zbijałem; ojca wcale nie widziałem, bo legł — walcząc do ostatka...

Młodość moja, miły Boże! tak przebiegła jak wód morze... że aż wspomnieć dzisiaj miło... co za ogień lśnił w mem oku, gdym szabelkę czuł przy boku, rzekłbyś — we krwi się paliło! nie ma drzewa, panie miły, z którembym nie zmierzył siły... Płaszać, skakać, biedz przez pole, to najmilsze me swawole; wszędzie byłem — w piekle chyba noga moja nie powstała! szabla też nie próżnowała! byłem w bitwie pod Możaj-skiem, i pod Moskwą, Elstrą rzeką, i Bóg sam wie jak daleko! aż do wstęgi się dobiłem!...

Niechaj każdy tu uważa! dostać wstążkę od cesa-rza, jak się zdaje — rzecz nie mała! Trzeba bić się oczy w oczy, choć twe oko śmierć już zoczy, tam gdzie rozkaz generała! — bić się rączo... w lewo! w prawo! zawsze dzielnie, zawsze żwawo... prosto w ogień! Het! mosanie, czasu na to i nie stanie, bym chciał skreślić bitwy swoje: bo co człowiek widział w świecie, to nie spisać i w kajecie! Tak się snują myśli roje... jednak gdy przypomnę sobie, co się działo ze mną zrazu, aż mnie na śmiech się zabiera, jakem zwiódł raz grenadyera, mimo woli, lecz z rozkazu.

Gdyśmy weszli do Granady, posłał kaprał mnie na zwiady, bo przez kilka coś miesięcy nie robiliśmy nic więcej, tylko zawsze zwiady, czaty. Był to kiepski czas zakaty! siedzieć ciągle, czyścić bronie, siodłać konie, zjeżdżać konie; zawsze w pracy, zawsze w znoju, być niepewnym godzin boju; ej, wolałbym tysiąc razy peł-nić sroższe wręcz rozkazy, iść do szturm, w lewo,

w prawo, to i człowiek idzie żwawo... tu zaś — pilnuj się, mosanie, patrz czy wróg cię nie zastanie smacznie śpiącego w pustem polu, to i zmudno.

Otóż w naszym pułku, panie, był grenadyer... Ciężta sztuka! Ięć miał czarny jak u kruka, krzyżyk legii na kaftanie. Chłop był tęgi, dzielny śmiały, lecz miał jeden błąd nie mały: zamiast wody — spijał wino... więc gdy się spił już jak bela, chociaż zdala wróg doń strzela: on nie zważa. Pod drzewiną staje z koniem — nogę w strzemię, i w najlepsze sobie drzemie. Nawet gdy był na szyldwachu... myśmy zawsze byli w strachu, by meżnego grenadyera raz nie sprzątnął Hiszpan srogi; bo jak Hiszpan wręcz naciera, zaraz wpija w bok ostrogi... my więc chcąc mu dać naukę, układamy taką sztukę:

Raz znalazłem w placu boju kilka płaszców, dwa czapraki, w każdym płaszczu po naboju i hiszpańskie mantelzaki. Jam to doniósł wachmistrzowi, co zrobimy z grenadyerem, gdy się ptaszek w sidła złowi.

Dzień się już miał ku schyłkowi. My na siebie bierzem płaszcze, tak jak noszą je Hiszpanie; fajkę każdy włożył w paszczę, każdy sztylet miał w kaftanie — Trzeba wiedzieć, że kamraci, niech im Bóg za to odpłaci, o tym spisku już wiedzieli i do niego należeli.

Patrzym! na rozstajnem błoniu stoi wiarus na szyldwachu, oparł głowę swą na koniu. Gdyśmy bliżej przystąpili, uczuliśmy po zapachu i po oczach, co jaśniały, że choć myśmy też wypili, każdy spory haust gorzały, to grenadyer pił w dwójnasób, że aż wąsy mu sterczały!

Więc podchodzیم doń w milczeniu, bronie z olster wyjmujemy; pas spinamy przy strzemieniu i w tył ręce związujemy... bo grenadyer gdy był spity, tak spał twardo jak zabity! Ja podchodzę: — „Gdzie broń twoja!?” mówię doń obcą manierą... Błysły oczy u opoja... „He, bon giorno cobbalero!” Tu grenadyer skoczył z siodła, chce do olster — broni niema! a sznur silnie ręce trzyma!.. Zdrada widać go ubodła...

więc ze złości się aż zżyma... „Zdrada! — krzyknie — hej kamraty! tu kamraty! tu Hiszpanie są, psu-braty!”

My wiążemy grenadyera, chociaż silnie się opiera... Nolens, volens, my na konie, stępel w usta, czyścim bronie, ja na migi mu wskazuję, że tu śmierć mu się gotuje, więc żeby się wypowiadał. A gdym mu to wszystko gadał, inny chustą wiąże oczy i do bliskiej ściany toczy.

On — choć wściekłość nim miotła, stanął cicho głowa w górę; my na rozkaz generała, paff! z fuzyjek — ale w chmurę...

Wiarus patrzy — kuli nie ma, więc ze złości aż się zżyma. — „Cóż to! czyli się boicie, czyż wy mierzyć nie umiecie?” My w śmiech. Płaszcz odrzucamy, jemu chustę z ocz zrywamy. „Bracia! cóż to!” — on zawoła... I któż to opisać zdoła? jemu lży się położyły i choć jeszcze był podpity, jednak poznał figiel braci, przeczuł żarcik ów kamraci. „Więc to, rzeczy, — żart haniebny”, a my na to: „Lecz potrzebny; bo-wiem gdyby nie ta sztuka, tobyś pewno już był w gro-bie, niech ci służy ta nauka, niech nie świta we łbie tobie!”

Odtąd wiarus nie pił wina, bo gdy kiedy chciał go, panie, każdy wówczas przypomina: „Ej! zabiją cię Hiszpanie!”



12/XI.62

21/6.

Leinwand gewirkt

Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 0030000446822



I 211445

Pracownia Śląska

Narodowy
Zasób
 Biblioteczny